Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 3 kwietnia 1938 r. Nr. 14

Nowa powieść w następnym numerze!

WRÓCIŁA WIOSNA



Wróciła wiosna! Nie widać jej wprawdzie jeszcze wśród szarych, miejskich murów, ale tam, za miastem, wśród szczerych pól, można ją już łatwo spotkać!...

Przykucnęła skromniutko nad szemrzącym strumykiem i uśmiecha się figlarnie złotymi oczętami stokroci. I tylko domyślać się trzeba, że przyszła znowu, że jest i będzie...

Na wysokiej, starej topoli jesienne i zimowe wichry zniszczyły bocianie gniazdo. Długo było puste i samotne. Ale oto znowu ożyło znowu zadrgało radością życia i tworzenia. Wiosenne promyki słońca ślizgają się po bocianich skrzydłach i kuszą je do szerokiego lotu. Lecą więc boćki na błękitne szlaki ze zwycięską pieśnią o nowej wiośnie, o nowych dniach nadziei i szczęścia...

M. Zemmlerówna

6)

Automat

PRZEKŁ. Z FRANCUSKIEGO
IRENY MACIEJEWSKIEJ

— Gdyż taka jasność umysłu jest rozpaczliwa dla uwięzionych myśli, gdyż pan lepiej niż ktokolwiek zdaje sobie sprawę ze swego stanu, gdyż... gdyż... Ach, nie umiem tego wytłumaczyć, ale to okropne!

— Tak, z początku myślałem, że oszaleję. Wszystko się we mnie straszliwie buntowało, miałem chwile szalonej rozpaczy. To było straszne!

— A teraz jest pan zrezygnowany? Pogodził się pan z losem?

— Czy się pogodziłem naprawdę, to przyszłość pokaże.

Co ukrywała ta odpowiedź? Jakie ponure, nierozważne projekty mogły powstać w tym anormalnie jasnym umyśle?

Odważyłam się wyjawić nękające mnie wątpliwości:

— Zdrowy umysł? A jednakże, siedzi pan z błędnymi oczyma, nic nie słysząc co się dzieje dookoła!

— To znaczy zapewne, że nie chcę słyszeć.

— A ustawiczne jęki pana — powtarzam określenie służącej — które zakłócają wieczorne pogawędki w Belle Vue?

— Prawdopodobnie nie podoba mi się ich treść.

— A w nocy, gdy trzeba czuwać nad panem w sypialni?

— Rozpacz dodaje mi siły, której chcę użyć przeciw sobie samemu.

— A kilka chwil temu, dodałam ciszej, kiedy... kiedy pan trzymał mnie tak mocno? Kiedy pan mnie ciągnął za sobą?

— Uległem złudzeniu. Marzyło mi się, że byłem taki jak inni ludzie, trzymałem pod rękę kobietę, byłem młody, silny!

— A zatem żadnych objawów szaleństwa? I nikt nie potrzebuje obawiać się ze strony pana jakiegoś odruchu, mogącego spowodować nieszczęście, którego żałowałby pan potem?

Z ust jego wydobył się drwiący pomruk.

— Niech pani będzie spokojna! Jestem absolutnie nieszkodliwy i może się pani przy mnie niczego nie obawiać.

— Nie obawa podyktowała mi to zapytanie, odparłam nieco podrażniona jego przypuszczeniem.

— Cóż więc?

— Absolutne niezrozumienie postępowania pana.

Wydawał się zaskoczony.

— Co panią tak dziwi?

— Bierność pana. Jakto, twierdzi pan iż jest rozsądny i w pełni władz umysłowych, a zgadza się pan na swój los bez walki, bez próby wyzwolenia się?

— Cóż ja mogę zrobić?

— Odkryć swój prawdziwy stan umysłowy, szukać w medycynie środka na ten paraliż; chirurgia czyni dziś cuda.

— Dla mnie nie mogła nic uczynić!

— Bo pan jej nie pomógł. Jedno słowo, jedna wskazówka mogłaby oświecić chirurga.



Na Florydzie młoda amatorka rybołóstwa upolowała przy pomocy harpuna tego oto wspaniałego rekina.

— Upewniam panią, że wszystkiego próbowano. Dalsze badania przeciągnęłyby niepotrzebnie udrękę mej siostry.

— Siostry! Gdyby ona znała prawdę...

Przerwałam nagle, słysząc w dali wołanie: „Panno Sabino"!

Ukryłam szybko ołówek i notes.

— Tu jestem. Kto mnie szuka?

Zjawił się Nador i zdejmując czapkę rzekł:

— Panna Blanka powróciła. Była bardzo zdziwiona, widząc pusty fotel brata. Domyśliła się jednak, że panienka wyprowadziła pana Janusza na spacer i przysłała mnie, abym pomógł wrócić naszemu biednemu panu, bo nieraz trudno kierować jego krokami. Bywa czasem, iż za nic w świecie pan nie chce chodzić.

— Nie miałam dziś z nim żadnej trudności. Przypuszczam, iż podobał mu się ten mały spacer.

— Zapewne! Gdy mu się coś podoba, wszystko idzie jak z płatka.

— Dawno już szukacie mnie? spytałam, by zmienić temat rozmowy.

— Mały kwadransik. Annika myślała, że państwo są z tamtej strony, tam więc najpierw pobiegłem.

— Nie chciałam zbytnio oddalać się za pierwszym razem.

W czasie tej rozmowy wzięliśmy pana de Saumarte pod ręce i powoli skierowaliśmy się do pałacu.

Janusz szedł posłusznie, nie każąc się ciągnąć. Czułam, iż ciężko było mu grać przede mną komedię sparaliżowanego, stawiał więc tylko niepewne kroki, stosując je do naszych ruchów.

Gdyśmy wchodzili do hallu, uścisnął moją dłoń, trzymającą go pod ramię.

Dziękczynny uścisk przyjaciela? pomyślałam sobie, czy też porozumiewawczy uścisk spiskowca, przed przybraniem zwykłej postawy wobec siostry?

Na wszelki wypadek, ręka moja odpowiedziała na ten uścisk i wznosząc się na palce, szepnęłam mu do ucha, gdyśmy już otwierali drzwi do salonu:

— Do jutra, panie Januszu. Przyjdę na pewno.

Siostra jego była jak zwykle bardzo serdeczna dla mnie, a widząc brata powracającego w dobrym stanie z tej pierwszej przechadzki pod moją opieką, uścisnęła mnie serdecznie.

— Moja mała Sabinko, jesteś zachwycającą pielęgniarką. Teraz mam całkowite zaufanie do ciebie. Janusz znajduje się w dobrych rękach, przebywając z tobą.

— Przecież to wcale nie trudne. Pan Janusz jest bardzo posłusznym chorym. Spędziłam z nim miłe popołudnie.

Przed wyjściem obiecałam Blance, iż przyjdę ją odwiedzić jutro.

* * *

Nazajutrz tak bardzo spieszyłam się do Belle Vue, iż przyszłam tam w chwili, gdy Blanka opuszczała pałac. Widząc mnie wchodzącą na taras, zawołała:

— Dzień dobry, Sabinko. Jak to dobrze, że przychodzisz tak wcześnie, pójdziemy razem na spacer.

— Chętnie, odrzekłam uprzejmie, jakkolwiek ten projekt krzyżował wszystkie moje plany. W którą stronę idziesz?

— W kierunku Saint - Remy. Widzisz tę ścieżkę po tamtej stronie wąwozu?

— Tak!

— Za chwilę będziemy przechodziły tamtędy.

— A czy tam bardzo zła droga?

— Wcale nie! Schodzi się śliczną drogą przez las, a potem trzeba iść trochę pod górę.

— Doskonale! A zatem pozwolę ci iść samej, droga Blanko, ja zaś wyjdę ci na spotkanie z twym bratem tą piękną drogą, o której mówisz.

— Jakto? zawołała, oszukałaś mnie!

— Daruj, rzekłam śmiejąc się, przyjmuję twoje uprzejme zaproszenie w miarę mych możliwości. Wdrapałam się już przecież do Belle Vue, a wieczorem muszę wracać do Presec. Obawiam się więc, że nie byłabym dobrą towarzyszką dłuższego spaceru.

— Masz rację. Zapomniałam, że przychodzisz z doliny, biedna Sabinko. Wiesz co? Odłożę ten spacer do jutra i zostanę z tobą.

— Ależ nic podobnego. Pójdziesz sobie, a my z panem Januszem powolutku, nie spiesząc się wyjdziemy na twoje spotkanie.

— Będziesz się nudziła.

— Gdybym się nudziła z twym bratem, nie przyszłabym przecież.

— A więc naprawdę zrobi ci przyjemność to co mi proponujesz?

— Naprawdę. Dopiero od paru dni spełniam obowiązki pielęgniarki, a ty byś chciała, aby mi się to już znudziło.

— Tak, ale mój biedny brat nie jest zabawnym chorym.

— Nie słyszałam nigdy jeszcze o zabawnej chorobie, odparłam śmiejąc się. Po powrocie ze spaceru będziesz musiała zrobić mi wykład na ten temat. Wówczas dopiero będę wiedziała do jakiej kategorii chorych należy zaliczyć twego brata.

— Kpisz sobie ze mnie, Sabinko!

— A ty nie chcesz uwierzyć w moje powołanie. Uciekaj teraz prędko, Blanko, w przeciwnym razie zażądam satysfakcji za obelżywe podejrzenia skierowane przeciwko mnie.

— A zatem do widzenia Sabino!

— Do widzenia, ale nie wracaj za prędko, gdyż nie będziemy mogli wyjść dość daleko na twe spotkanie.

— Właśnie! Powiedz od razu, że nie pilno ci zobaczyć mnie znowu.

— Jesteś nieznośna, Blanko! Nie rozmawiam więcej z tobą!

Przesyłając mi z uśmiechem pocałunek dłonią, odeszła. Patrzyłam za nią, gdy jeszcze z daleka kiwała mi przyjaźnie ręką i cieszyłam się w sercu, widząc ją oddalającą się.

* *
*

Wolnymi krokami szłam z Januszem ścieżką wydeptaną wśród traw. Nie miałam żadnej trudności w nakłonieniu go do tego spaceru; wystarczyło zapewnienie, iż będziemy sami w lesie.

Znał dobrze tę drogę i jej odosobnienie. Perspektywa długiego sam na sam ze mną nie była mu niemiła.

Pozwolił mi się prowadzić, jak poprzedniego dnia, przez taras. Zaledwie jednak skryliśmy się za zaroślami, zaczął swobodnie kroczyć u mego boku, niezbyt silnie wspierając się na mym ramieniu. Oczywiście, potykał się trochę, dysząc ciężko, lecz nie miał ruchów martwego mechanizmu...

Wznowiliśmy po trochu rozmowę z dnia poprzedniego.

Nie mogłam przemóc w sobie przekonania o niemożności jego uleczenia. Nalegałam, by się poddał ponownym badaniom

Słysząc to oświadczenie, zawołałam wzburzona:

— Samobójstwo! Pan myślał o tym?

— Niestety, bardzo często. Przypuszcza pani, że zdecydowałem się na egzystencję żywcem zamurowanego z zamiłowania? Moje nocne rewolty dowodzą czego innego!

— Nie, nie powinien pan godzić się z taką egzystencją, ale musi pan szukać wyjścia w wyleczeniu się...

— Nie mam żadnej nadziei na wyleczenie, a mam zaufanie do śmierci.

— Proszę tak nie mówić. Pan bluźni, nie zastanawia się pan nad tym co pan mówi!

— Czyż pani sądzi, że mogę mieć inną nadzieję w sercu? Niechże pani się dowie, Sabino, że w każdej sekundzie mego życia

— Panie de Saumarte, proszę, niech pan nie zadaje sobie bólu. Trzeba mieć nadzieję na lepsze dni.

— Tak, w śmierci.

— Oh, niech pan nie powtarza tych okropności. Pan jest chrześcijaninem, panie Januszu, nie ma więc pan prawa myśleć poważnie o takich rzeczach.

Wyrwał mi gwałtownie z ręki mały notesik i prędko, z wściekłością prawie, odpowiedział na mą uwagę:

— Jestem żywym stworem niepodobnym do innych; boskie prawa, obejmujące innych ludzi, nie mogą więc mnie dotyczyć. Żałuję, Sabino, iż rozwiałem pani złudzenia o mnie. Ponieważ ustaliliśmy jednak,

W następnym numerze nowa powieść!!!

P. Maria Reutt zdobyła sobie odpowiednią opinię i zaufanie w szerokich masach naszych czytelników, toteż wiadomość, że znów będzie drukowana jej powieść zostanie zapewne przyjęta z pełnym zadowoleniem, jeżeli nie z entuzjazmem. Po pięknych, porywających powieściach, jak „Zemsta Cyganki", „Co zazdrość może", „Ktoś Ty?" itd., nowa powieść nosi tytuł:

„ANNA"

Akcja fascynująca, pełna największego dramatycznego napięcia!!!

Tematem są zawiłe drogi miłości, jej wzloty i opady przy dalekich odgłosach kul armatnich i rewolucyjnej wrzawy, tudzież głuchych, twardych odgłosach bojowych werbli, a w bezpośrednim zetknięciu z ponurymi lochami Czerezwyczajki. Wygórowane ambicje i zachłanność jednej strony, popchnęły ją do upodlenia i wtrąciły w nieszczęście — drugą. Szczęśliwy koniec wykazuje jasno, że dobroć i szlachetna wspaniałomyślność zawsze zostaje wynagrodzona!

lekarskim, uprzedzając tym razem chirurgów, iż jest w pełni władz umysłowych i ma niejaką swobodę ruchów.

Moje naleganie w końcu go wzruszyło. Obawiał się jednak, by moje pragnienie leczenia go, nie zdradziło przed Blanką faktycznego stanu jego umysłu. Musiałam ponownie upewnić go w tym względzie, choć dodałam z przekonaniem:

— Wielka szkoda, iż nie pozwala pan powiedzieć o tym siostrze. Jestem pewna, iż gdyby znała ona prawdę, nie zgodziłaby się nigdy na to, aby popełniał pan dla niej takie samobójstwo.

— O, cóż za poważne słowo w ustach pani, mała przyjaciółko, napisał w notesie. A jednak, dodał, wypowiedziała pani mimo woli słowo, oświetlające całe moje zachowanie.

wzywam dobroczynnej śmierci, która wyzwoli moje nędzne ciało, która położy kres mym cierpieniom moralnym, do szału doprowadzającym, wspomnieniom, memu rozpaczliwemu żalowi... O śmierci, śmierci błogosławiona, kiedyż przyjdziesz mnie wyzwolić...

Zdanie to zawierało w sobie tyle bólu, iż patrzyłam do głębi poruszona na Janusza.

Po napisaniu tych smutnych słów, nieszczęśliwy kaleka usiadł zgnębiony na małym wzniesieniu, okalającym ścieżkę. Wydawał się pogrążony w najgłębszej rozpaczy, siedząc tam ze sztywno wyciągniętą szyją.

Drżąc ze wzruszenia usiadłam przy nim i ujęłam jego dłonie.

że nie będziemy niczego przed sobą ukrywać, winien jestem pani całą prawdę.

— Jakaż jest ta prawda? zapytałam z westchnieniem.

— Już ją pani zna teraz.

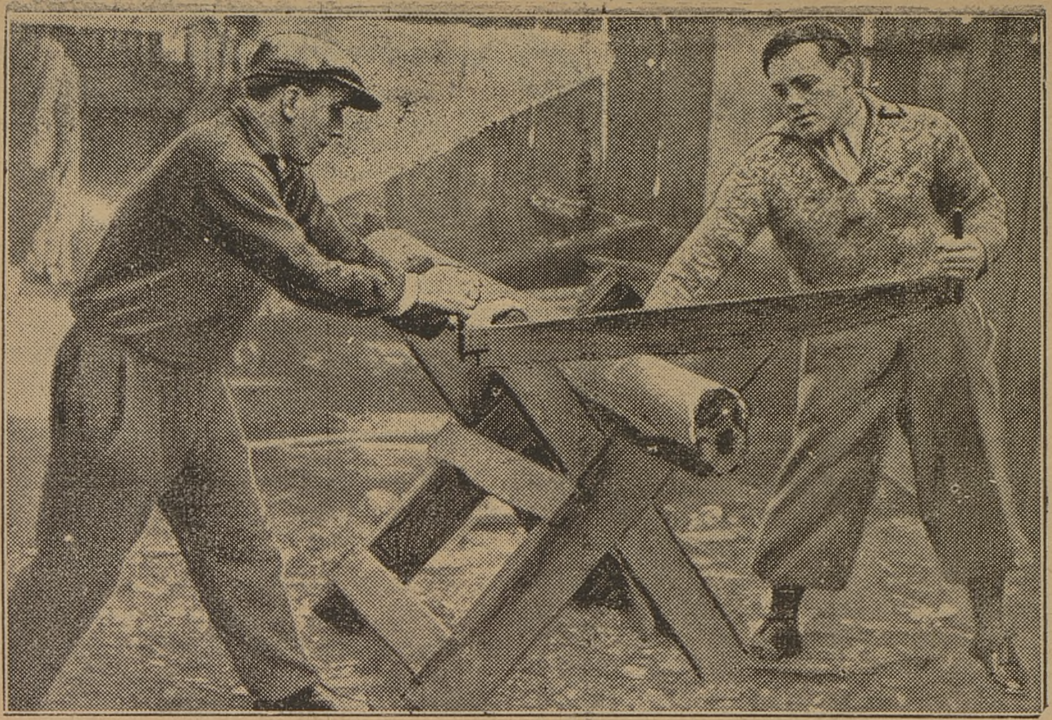
— Samobójstwo? wyjąkałam przerażona.

— Tak... czekam tylko okazji... Setki razy wydawało mi się, że już nadeszła... A może pani, jako przyjaciel, stworzy mi ją, przez współczucie lub zupełnie bezwolnie, w chwili, gdy najmniej będzie pani o tym myślała.

— Ja? Pan oszalał! krzyknęłam oburzona.

— Jestem tylko logiczny: przyjaźń powinna być bez zastrzeżeń i bez fałszywego sentymentalizmu.

— Ależ nigdy, nigdy! To byłoby okropne, krzyknęłam ze zgrozą.



Jednym z najlepszych sposobów zaprawy bokserskiej jest piłowanie drzewa. Na zdjęciu bokser niemiecki A. Heuser.

— To byłoby szlachetne. Ale czy pani, czy kto inny, to wszystko jedno. Pragnę tylko zniknąć tak, by siostra nie domyśliła się prawdy, by nigdy nie podejrzewała, iż przyczyniła się do mej śmierci. Muszę zejść z tego świata w sposób naturalny.

— Biedna Blanka!

— Będzie mnie opłakiwać jak kogoś bardzo drogiego, ale równocześnie jak kogoś nienormalnego, niepotrzebnego, odejście którego stanie się wyzwoleniem dla wszystkich.

— A ja? zapytałam machinalnie.

— Pani?

— Tak, ja, którą pan wplątał w swe życie, której przywiązanie zdobył pan. Cóż pan zrobi z tym wszystkim?

— Pani, mała przyjaciółko, pani pomyśli czasem o nieszczęśliwym kalece, któremu rozjaśniała pani ostatnie dni. A potem zapomni pani o mnie, jak wszyscy inni.

— Ach, niechże pan wreszcie zamilknie. Jest pan naprawdę oburzający.

Poczułam nagle, iż ogarnia mnie złość. Dlaczego ten człowiek mówił do mnie w ten sposób? Po co mi opowiadał swoje chorobliwe myśli? Po co mnie związał z sobą tajemnicą i zakazem wyjawienia jej? To wszystko było niegodne uczciwego człowieka!

A poza tym żyłam się już z nim na tyle, że nie mogłam pozostać obojętną na podobne słowa. Nie mówiąc już o tym, że cieszyłam się od kilku dni jego przyjaźnią, że było mi przyjemnie być mu użyteczną. Zdawało mi się, iż jestem mu potrzebna w mej skromnej roli powiernicy.

A on mówił o pozbawieniu się życia! Była to myśl zrodzona przez mózg wytrącony z równowagi chorobą, ale było to szaleństwo, do którego nie miałam prawa dopuścić.

— Ja nie chcę, panie de Saumarte. Słyszy pan, ja nie chcę. Nie miał pan prawa wtajemniczać mnie w swoje ponure zamiary, gdyż czyni mnie pan swoją wspólniczką, a ja nie chcę brać w tym udziału.

— Biedne dziecko! Niech pani będzie spokojna, nie wciągnę pani siłą do mych projektów.

— Ależ ja właśnie odrzucam ten projekt... nawet bez mego udziału. A przede wszystkim, dlaczego pan mnie wybrał na swoją powiernicę, izolując się od wszystkich innych ludzi?

— Ludzka słabość! Pani jest młodością, wdziękiem, uśmiechem. Nie mogłem się oprzeć! Najdzielniejsi nawet mają chwile słabości. Chciałem przed końcem życia zerwać kwiat przyjaźni, którą pani mi ofiarowała i którą dawno już się nie cieszyłem.

— Właśnie o tę przyjaźń mam do pana żal. Zdaje mi się, że pan postąpił bardzo lekkomyślnie. Pocóż pan mnie wplątał w swoją egzystencję, skoro zamierza pan odejść z tego świata.

— Źle postąpiłem; lecz nie tylko moja w tym wina. Proszę sobie przypomnieć... na początku nie chciałem... Napróżno usiłowałem nie odpowiadać pani... nie mogłem... Pani jest kobietą, Sabino, a ja tylko mężczyzną, którego ujęła pani swym wdziękiem.

— Oh, proszę zamilknąć, krzyknęłam wzburzona do najwyższego stopnia, gdyż czułam, iż ma on rację; to ja, kusząc go, prześladowałam go swoją niedyskretną ciekawością.

Wydawało mi się teraz, iż jestem odpowiedzialna za wszystkie szaleństwa, które on mógłby popełnić. Złożywszy więc ręce jak do modlitwy, błagałam:

— Proszę pana, panie de Saumarte, w imię tej przyjaźni, którą narzuciliśmy sobie wzajemnie — widzi pan nic nie ujmuję ze swojej winy — proszę, niech pan zrezygnuje ze swych ponurych zamiarów.

— Potrząsnął głową: Mała przyjaciółko, proszę mnie nie kusić, nie chcę kłamać przed panią.

— Pocóż kłamać? Wiem, że jeśli pan mi przyrzeknie dotrzyma pan słowa.

— Dlatego też nic pani nie przyrzeknę. Rozumuje pani bardzo naiwnie, mniemając, iż zdoła mnie pani powstrzymać, skoro nawet myśl o mojej ukochanej siostrze nie jest wystarczającą, by zmusić mnie do życia. Ale czyż pani nie rozumie, iż jedno tylko mi pozostało: prawo odebrania sobie życia. Utraciłem wszystko: miłość, szczęście, ognisko domowe, pracę, powodzenie; nie mam nic, nie mogę nic. Jestem pariasem, uwięzionym w nędznym szkielecie, nie mogącym się poruszać. Pozostaje mi tylko jedna nadzieja: śmierć, jedno dobro: zabić się, zniknąć, nie cierpieć więcej. I pani żąda, bym dla niej poświęcił to jedyne prawo. Cóż za dziecinne wyobrażenie ma pani o swej władzy nad mym życiem.

Zerwałam się blada jak kreda.

Czyż nie mówił mi wyraźnie, iż jestem mu obojętna? że nic nie znaczę w jego życiu, mimo iż zaklinałam go w imię przyjaźni!

Te okrutne słowa padały bezlitośnie na moje biedne serce, ja zaś nie mogłam zrozumieć, dlaczego czyniły w nim takie spustoszenie.

— Ma pan słuszność, panie de Saumarte, wyjąkałam z wysiłkiem drżącym głosem. Moja skromna przyjaźń nie zasługuje na to, by pan cośkolwiek dla niej poświęcał. Ale, ciągnęłam dalej wzburzona, z jakąś wewnętrzną wściekłością, ale ja nie życzę sobie, aby moja bezsilność w jakikolwiek sposób służyła ponurym zamiarom pana. Nie mogę przebywać z panem, znając te projekty i nie mogąc im zapobiec. Przysięgam, że jeśli nie da mi pan w tej chwili słowa honoru na to, że nie zrobi pan sobie nic złego, nie zobaczy pan mnie więcej w Belle Vue.

— Pozbawiłaby więc mnie pani na zawsze swego widoku?

— Tak, gdyż będąc mimo woli wtajemniczoną w te dzikie plany pana, nie chcę brać w nich żadnego udziału.

— A więc tylko tyle przyjaźń pani może mi ofiarować w takiej chwili?

— Tylko to może być w zgodzie z moim sumieniem.

Nastąpiła chwila takiej tragicznej ciszy, iż słyszałam bicie mego wzburzonegoserca.

Janusz namyślał się z ołówkiem w ręku, z oczami utkwionymi we mnie.

Nie mogłam odgadnąć walki toczącej się w jego duszy pod spokojem zakrzepłym w rysach. Widziałam jedynie niewzruszoną maskę zniekształconej twarzy, a gdy zauważyłam konwulsyjne drżenie ciała, byłam pewna, iż tylko złość wstrząsa nim w tej chwili.

Wreszcie, ręka trzymająca ołówek zdecydowała się pisać.

Śledząc ze strachem, pojawiające się jedna za drugą litery, odczytałam decyzję:

— Dobrze, pisał, ponieważ chce pani dodać jeszcze jedno ogniwo do mego łańcucha, ponieważ chce pani powiększyć moje cierpienia, niech pani odejdzie i nie wraca więcej. Niech pani odejdzie i niech przeklętym będzie dzień, w którym zjawiła się pani przede mną, Sabino!

— O tak, zawołałam, nie zdając sobie sprawy z tego co mówiłam, przeklętym niech będzie dzień, w którym przyszłam do Belle Vue!

Byłabym może w wzburzeniu dodała jeszcze jakieś głupstwo do tego okrzyku wściekłości, gdy wtem, o jakieś dwadzieścia metrów przed nami, ukazała się, szukająca nas Blanka.

Byliśmy tak pogrążeni w naszej dyskusji, iż nie zauważyliśmy jej zbliżania się.

Ukryłam instynktownie papier i ołówek, wyrywając go z drżących palców kaleki.

Potem, schyliwszy głowę, czekałam nadejścia Blanki, nie zastanawiając się nawet

nad tym, jak jej wytłumaczę moje wzburzenie.

Zbliżywszy się, Blanka spostrzegła od razu moją zmienioną twarz i niesamowite oczy.

Podskoczyła ku mnie:

— Sabinko, co ci jest?

W odpowiedzi wybuchnęłam łkaniem. Było mi tak strasznie ciężko na sercu w tej chwili, ogarnęło mnie niewypowiedziane uczucie rozpaczy.

Miałam wrażenie, iż zostałam wciągnięta w jakiś okropny dramat, zagrażający naszym trzem istnieniom, naszemu życiu. Ich nieszczęście było we mnie... dookoła mnie... On, ona... Te dwie istoty, które już mi były drogie, do których ciągnęła mnie sympatia i życzliwość, a których nie mogłam uratować... Bronić ją przed nieszczęściem, które on chce jej zgotować, jego ratować przed szaleństwem, przed nim samym.

Dusza moja błąkała się jak rozbitek w bolesnej rozterce, przekonałam się bowiem o swej bezsilności, o tym, iż moje pragnienie poświęcenia się i oddania na nic się nie zdało.

Opłakiwałam to żałośnie.

Blanka objęła mnie macierzyńskim ruchem.

— Skąd te łzy, moje kochanie? Kto ci sprawił takie zmartwienie? Mój brat? Biedny chłopak, on nie jest przecież odpowiedzialny za swoje czyny.

— To nic, to nic!

— Nie płacze się bez powodu.

Kołysała mnie łagodnie w ramionach.

— Wiesz dobrze, jak cię kocham, Sabinko; trzeba mieć do mnie zaufanie powiedzieć mi wszystko. To mój brat, prawda?

— O nie, nie!

— Wprawdzie ma on spokojny wygląd. Ale czasem staje się zdenerwowany. Zgadłam już, przestraszyłaś się, prawda?

— Przestraszyłam się? O nie!

— A więc Janusz pozwolił sobie na...

Przerwałam jej, kładąc rękę na ustach, by nie mogła dokończyć tego obrażającego przypuszczenia.

Jakie myśli powstały w jej głowie na widok mego dziwnego zachowania? Jakie nieprawdopodobne podejrzenia mógł wzbudzić w niej mój płacz?

Przerażenie ogarnęło mnie na myśl, iż mogłaby bezwiednie odgadnąć prawdę. Przysięga milczenia wiązała mnie z jej bratem. Dopuścić, by Blanka powzięła jakieś podejrzenie, byłoby krzywoprzysięstwem. Opanowałam się.

Starając się powstrzymać dławiący w gardle szloch, usiłowałam wytłumaczyć:

— Nie, to nie jest wina twego brata. On się wcale nie przyczynił do mego zmartwienia. Tylko ja jestem taka nerwowa... opadają mnie różne myśli... jakieś czarne myśli zjawiają się nagle i czynią człowieka nieszczęśliwym...

Przyglądała mi się badawczo, chcąc wiedzieć prawdę, niebardzo wierząc w moje wyjaśnienia.

Wysunęłam się z jej ramion, nie chcąc odczuwać tak blisko jej badawczego, pytającego spojrzenia.

Potok łez został wstrzymany; ocierałam oczy wolno i starannie, chcąc zyskać na czasie, by powrócić do równowagi.

Widziałam, iż Blanka wodziła spojrzeniem ode mnie do brata. Widocznym było, iż mnóstwo pytań cisnęło się jej na usta.

— Nie płacze się przecież bez powodu. Musi być jakaś przyczyna... i jeśli to nie Janusz...

— To wcale nie on.

— W takim razie kto inny. Może ogrodnik?

— Oh, czego ty się doszukujesz?

— Właśnie! szukam! Jest to moim obowiązkiem przyjaciółki i zarazem gospodyni.

— A więc potępiaj mnie, Blanko, i jeśli szukasz winnego, szukaj go we mnie. Podlegam często takim chwilom depresji i jest mi niezmiernie przykro, iż uczyniłam cię świadkiem moich łez. Wybacz mi tę chwilę słabości. Byłam głupia i śmieszna, postaram się, aby nigdy więcej to się już nie powtórzyło.

Protestowałam energicznie, chcąc, by dźwięk mego głosu dał jej do zrozumienia, iż naleganie było daremne i że pozostanę przy pierwotnym objaśnieniu.

Zrezygnowała więc z dalszych pytań i choć widocznym było na jej twarzy, iż moje zapewnienia nie przekonały jej, udawała, że wierzy w nie.

— Jestem zadowolona, że mój biedny Janusz zachowywał się poprawnie względem ciebie, gdyby jednak stało się kiedykolwiek inaczej, musisz pamiętać, kochanie, iż nie odpowiada on za swoje czyny i że umysł jego nie jest w stanie utrzymać kontroli nad fizycznymi odruchami.

— Proszę cię, Blanko, nie mów więcej o tym. Nie mogę pozwolić, byś miała jakieś niesłuszne podejrzenia — pan de Saumarte był zawsze nieskończenie correct względem mnie.

Nie można sobie wyobrazić, jak trudno było mi brać w obronę kalekę w jego obecności, wiedząc, iż rozumie on wszystko, co się mówi.

Zaległa cisza.

Blanka zdawała się godzić na przedstawioną przeze mnie sytuację.

Po raz pierwszy od chwili naszej sprzeczki odważyłam się wznieść oczy na Janusza de Saumarte.

Blady, nieruchomy, o dalekim spojrzeniu, wydawał się jak zwykle obojętny na wszystko, co go otaczało.

Zauważyłam jednak drżenie jego rąk i skrzywionych ust. Zrozumiałam wówczas, iż wzburzenie jego, choć niewidoczne, było niemniejsze od mego.

— Wracamy do pałacu, rzekła Blanka, biorąc pod ramię brata, który wstał posłusznie, by dać się prowadzić.

Blanka, zachowując swój pogodny wyraz twarzy, wyglądała tak, jakby chciała zapomnieć o tym dramatycznym incydencie, który ją zaskoczył przy powrocie ze spaceru.

Szłyśmy w milczeniu po obu stronach jej brata. Janusz posuwał się zmęczonym, nieskoordynowanym, jak zwykle, krokiem, ze zwieszoną głową. Blanka zdawała się nie spostrzegać naszego zmieszania, jak również tego, iż szłam nieśmiało obok jej brata, nie podtrzymując go, co byłabym niezawodnie czyniła parę godzin temu.

Tyle goryczy nagromadziło się w mym sercu, iż z trudem tłumiłam westchnienia, wydzierające mi się z piersi.

Zagłębiona w posępnych rozmyślaniach, nie usiłowałam nawet wszcząć rozmowy z moją towarzyszką, choćby tylko dla zatuszowania jej poprzednich wrażeń.

Pogodnym głosem zwracając się serdecznie ku mnie, zwróciła mi na to uwagę.

Musiałam otrząsnąć się z zadumy, by odpowiedzieć:

— Daj mi pokój Blanko, wiem, że jestem dziś nieznośna. Mam po prostu atak melancholii, na którą nie ma rady. Spodziewam się, że to przejdzie do jutra. A teraz pójdę już do domu!

Weszliśmy właśnie na taras. Zatrzymałam się, by pożegnać Blankę.

— Chcesz odejść bez podwieczorku — prosiła zdezorientowana.

— Nie będę mogła nic przełknąć teraz. Spacer dobrze mi zrobi. Nie miej do mnie żalu, moja droga, ale wolę odejść.

Podsunęłam jej policzek do pocałunku.

W milczeniu ucałowała mnie, lecz czułam, iż jej zamyślone oczy badawczo mi się przyglądają.

Zamierzałam odejść, ukłoniwszy się tylko z dala kalece, lecz myśl, iż siostra jego nas obserwuje, przywołała mnie do porządku. Kosztowało mnie to dużo, iż musiałam pierwsza zwrócić się do niego po tym smutnym nieporozumieniu, dzielącym nas teraz, miałam jednak dość siły woli, by ująć go za rękę i potrząsnąć nią przyjaźnie, jak to było w moim zwyczaju.

— Do widzenia, panie de Saumarte. Mam nadzieję, iż spacer zbytnio pana nie męczył i że spędzi pan spokojnie dzisiejszą noc.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

WOJCIECH HOLM

75)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— I masło masz? — zapytał Mayer zdziwiony — a dopóki Sambo tu był, to ci nigdy nie wystarczało! Był to kosztowny gość i bardzo dobrze się stało, że się zabrał!

Potem rzekł, napychając sobie fajkę:

— Zawiozę to wszystko jutro do Friedrichskron na sprzedaż. Przygotuj wcześnie śniadanie!

Słowa te zabolały Zuzię głęboko, obawiała się bowiem, że mąż jej tam może kogoś spotkać, co mu jej przeszłość zdradzi. Rzekła więc nieśmiało:

— Józefie, po co się masz trudzić z tym wszystkim do miasta? Wiesz co? Ja pójdę do miasta zamiast ciebie i tak się pospieszę, że wrócę jeszcze na czas, aby ci zgotować obiad.

— Nie, nie pozwolę na to, abyś się tak męczyła, odparł Mayer, dobrze, żeś trochę do siebie przyszła!

— To pozwól mi przynajmniej, abym cię odprowadziła — prosiła Zuzia swego męża.

— To niemożliwe — rzekł Mayer stanowczo — bo jedno z nas musi zostać w domu. Najpierw trzeba bydła doglądnąć, a po drugie, nie można zostawić folwarku bez nadzoru. Kto wie, czy Sambo nie kręci się tu po okolicy i nie czeka na sposobność, aby nas okraść.

Zuzia zamilkła. Nie miała odwagi dłużej prosić swego męża, ale smutne uczucia opanowały jej duszę i spłakała się porządnie przed snem.

Czy mi się uda kiedyś odzyskać jego miłość? — myślała. — Jak mogłam dawniej być tak ślepą, i nie poznać się na wartości Józefa? Pogardziłam jego miłością, a teraz oddałabym połowę życia swego za to, aby serce jego dla siebie na nowo pozyskać!

Przez długi czas nie mogła zasnąć, a gdy wreszcie sen zamknął jej powieki, był on tak twardy i silny, że zbudziła się dopiero, gdy słońce już było wysoko na niebie. Przestraszona zaczęła wołać Józefa.

Ale nie otrzymała żadnej odpowiedzi!

Zarzuciła prędko coś na siebie i pobiegła do komórki, w której chowała swoje zapasy. Koszów z masłem i jajami tam nie było. Westchnęła ciężko.

— Pojechał bez śniadania do miasta — mruknęła — i ja się nawet z nim nie pożegnałam! Gdybym była wiedziała, że zaśpię, nie byłabym się nawet położyła, lecz całą noc na krześle przesiedziała. Co też Józef o mnie pomyśli!

Myślała ciągle o swoim mężu i chcąc mu zrobić niespodziankę gdy wróci, zarżnęła koguta, przygotowała makaron i postanowiła zrobić dla niego dobry rosół na wieczór.

W tym samym czasie, w którym się Zuzia w domu krzątała, dźwigał Mayer ciężki swój towar do miasta, lecz przybywszy do Friedrichskron bardzo prędko go się pozbył.

Utargował dużo pieniędzy, a że wyszedł był z domu bez śniadania i już porządnie był głodny, zaszedł do najbliższej gospody, aby się posilić.



Nową pasją Anglików są wyścigi miniaturowych samochodów.

Usiadł przy stole obok jakiegoś silnego, młodego farmera, który widocznie był niemieckiego pochodzenia i zaczął z nim rozmawiać, skracając tym czas czekania na zamówiony posiłek.

— Czy i pan osiadł tu w tej okolicy? — zapytał Mayer.

Młody farmer zamyślił się i odpowiedział:

— Mam swoją farmę o 300 mil stąd i przybyłem tu w bardzo nieprzyjemnej sprawie. Dałbym swoją najlepszą krowę za to, gdyby mnie kto od tego ciężaru chciał zwolnić.

— Zaciekawia mnie pan — odparł Mayer zaintrygowany — o co to właściwie chodzi?

— Sprawa jest tego rodzaju — odparł farmer. — Miałem sąsiada, bardzo dobrego przyjaciela, który tu przed sześciu miesiącami bez centa przyjechał i w sąsiedniej farmie był parobkiem. Miał w domu jedyną siostrę, którą kochał nad życie i ledwo sobie trochę grosza uskładał, posłał jej na podróż i cieszył się jak dziecko, myśląc o jej przybyciu. Greta (bo tak się siostra jego nazywała) miała służyć w tej samej farmie co on. Opowiadał nam tyle o swojej pięknej siostrze, że już wszyscy byliśmy jej ciekawi. Lecz niestety, nie było mu przeznaczone powitać ją w tym obcym kraju. Bóg wie, jak to się stało, że właściciel tej farmy stał się zazdrosnym o młodego, przystojnego chłopca, mimo, że Wilhelm mu wcale do tego powodu nie dawał. Spostrzegł on wprawdzie, że się pan jego teraz gorzej z nim obchodzi, ale nie mógł nawet przypuszczać, że on go o coś złego podejrzewa i dlatego nawet się nie bronił. To bardziej jeszcze rozgoryczyło farmera na Wilhelma. Każdy inny byłby na jego miejscu porzucił służbę, ale on chciał jeszcze wytrwać do przybycia Grety i znosił wszystko cierpliwie, obiecując sobie, że odejdzie, skoro tylko siostra jego przybędzie. Ale stało się inaczej. Zeszłego tygodnia, podczas rąbania drzewa, stanął pan jego za nim i tak mu ciągle gderał, że robota zła, iż Wilhelm zniecierpliwiony rzucił siekierę na ziemię i zawołał:

— Jeżeli się panu nie podoba, to niech sobie pan sam robi. Ja już dość mam tego wiecznego łajania. Niech mi pan da, co mi się u pana należy, to pójdę, a pan niech sobie innego parobka szuka!

— Jeszcze mi tu będziesz pyskował! — zawołał farmer i w porywie wściekłości złapał odrzuconą przez Wilhelma siekierę i uderzył nią w głowę Wilhelma. Z jękiem upadł nieszczęśliwy na ziemię, i tak go zastałem leżącego, gdym w kilka minut później przyjechał konno do farmy, bo miałem interes do właściciela. Co tam się działo, to trudno opisać. Farmer uciekł, kobiety lamentowały, a biedny Wilhelm dogorywał. Poznał mnie jednak jeszcze i zebrawszy ostatek sił, szepnął: Nie opuszczaj mej biednej siostry! O Boże, po co ją tu sprowadziłem? Taka młoda, ładna i zupełnie bez opieki! Zlituj się nad nią! — Serce mi pękało — rzekł opowiadający, ocierając łzy rękawem surduta — i rzekłem: Wilhelmie, kochany przyjacielu, nie mów o śmierci, bo jeszcze wyzdrowiejesz. Aby cię jednak uspokoić, przyrzekam ci święcie, że się Gretą zaopiekuję. Przysięgnij mi, że ją nie opuścisz — rzekł umierający — i że wyjedziesz naprzeciw niej do Friedrichskron, bo ona nie będzie wiedziała, co ze sobą ma począć. Wilhelmie — rzekłem mu — przysięgam ci na moje zbawienie, że ją we Friedrichskron będę oczekiwał i że jej nie opuszczę. Na to uśmiechnął się biedak błogo i ścisnąwszy mi rękę, wyszeptał: Dziękuję ci, a pozdrów moją kochaną Gretę tysiące razy ode mnie! To były jego ostatnie słowa. W chwilę później już nie żył. Pochowaliśmy go ze wszystkimi honorami, a ja przyjechałem do Friedrichskron, aby siostry jego oczekiwać. Okręt, którym ona przyjeżdża, podobno dziś ma przybyć.

Od morza usłyszeli przeraźliwy świst. Farmer zerwał się z siedzenia.

— Oto przybywa! — zawołał — a za kwadrans przybije do portu. Muszę więc spieszyć. Bądźcie zdrowi.

To rzekłszy, oddalił się.

Było to dziwne, że Mayer, który się tak na śniadanie cieszył, teraz nie mógł jeść! Smutne opowiadanie obcego farmera takie wrażenie na nim wywarło, że ciągle o tym myślał, i wyobrażał sobie rozpacz Grety, na wiadomość o śmierci swego brata.

Skończywszy pospiesznie śniadanie, wyszedł z gospody i machinalnie prawie poszedł w stronę przystani. Przybył tam właśnie w chwili, gdy parowiec przybił do portu.

Kilku pasażerów opuściło okręt, za nimi wyniesiono prędko ich pakunki, poczem parowiec ruszył dalej.

Między tymi pasażerami znajdowała się też młoda, śliczna dziewczyna, w skromnym stroju śląskich dziewcząt wiejskich, z małym pakuneczkiem w ręku.

Dużymi, brązowymi oczyma patrzyła trwożnie wokoło siebie, jak gdyby kogoś oczekiwała i wydawała się z każdą chwilą niespokojniejsza.

Farmer, któremu przypadła smutna misja poinformowania przybyłej o jej nieszczęściu, wahał się jeszcze bardziej.

Wreszcie zebrawszy się na odwagę, przystąpił do niej i zdejmując kapelusz, zapytał:

— Przepraszam panią, czy mam przyjemność mówić z panną Gretą Heller?

— Tak jest — odparła piękna dziewczyna żywo — czy przychodzi pan z polecenia mego brata?

— Tak... — mruknął farmer, mnąc swój kapelusz w ręku.

— Dlaczego on sam nie przyjechał — spytała Greta blednąc — czy on może chory?

— Niestety, bardzo nawet chory — odparł farmer, kładąc nacisk na swe słowa.

— Na miłość Boską — krzyknęła Greta — on nie żyje! on umarł! Kochany mój brat umarł, a ja nie mogłam mu nawet podziękować za jego dobroć i miłość dla mnie!

Zaczęła płakać, a tłum ludzi, który się wokoło niej zgromadził, zasypywał ją pytaniami, chcąc się dowiedzieć, co się stało i dlaczego to biedne dziecko takie zrozpaczone.

Greta tymczasem nie myślała ani na chwilę o swoim losie, lecz oddawała się zupełnie boleści po stracie ukochanego brata.

Głęboka litość nad nieszczęśliwą opanowała Mayera. Nie odwracał oka od Grety i przykro mu było, że jej się obcy ludzie tak naprzykrzali.

Przepchał się więc przez tłum i rzekł do zawodzącej dziewczyny:

— Które są rzeczy pani, panno Greto:

Ona wskazała mu ręką na nieduży kufer i jedno zawiniątko. Mayer wziął kufer na plecy, mniejszy pakunek złapał w rękę i rzekł do Grety:

— Chodź pani ze mną. Zaprowadzę panią do gospody, gdzie możemy wszystko spokojnie omówić, bez tego ciekawego tłumu.

— Słusznie — potwierdził farmer i we troje weszli do najbliższego zajazdu.

— Czy będę jeszcze przynajmniej mogła zwłoki jego zobaczyć? — szlochała Greta.

— Niestety, nie — odparł zapytany — musieliśmy go na trzeci dzień pogrzebać, z powodu otwartych ran, które miał na ciele.

— Otwarte rany? — powtórzyła dziewczyna z rozpaczą w głosie — Jezus Marja! Czyż Wilhelm nie umarł naturalną śmiercią?

Mayer skinął na farmera, aby nieszczęśliwej nie opowiadał całej prawdy, bez poprzedniego przygotowania, ale ten zdawał się nie rozumieć tej przestrogi i ciągnął dalej:

— Całe nieszczęście było to, że stary Hase ożenił się z młodziutką dziewczyną i był nawet na cień jej zazdrosny. Biedny Wilhelm był tak niewinny, jak nowonarodzone dziecko. Gdyby Hase nie był zaraz po zamordowaniu jego uciekł, bylibyśmy go na najbliższym drzewie powiesili. Ale on znikł bez śladu!

— Mój brat zamordowany! — jęczała Greta — mój dobry, kochany Wilhelm, który nawet robakowi nędznemu nic złego zrobić nie mógł, został zamordowany! O Boże, o Boże!

— Niech się pani uspokoi — pocieszał ją farmer — obiecałem Wilhelmowi przed śmiercią, że pani nie opuszczę i dotrzymam słowa. Będzie pani dobrze u mnie. Ja mam ładny domek, piękne bydło i dobrą ziemię. Niczego mi tam nie brak, tylko samotne życie było mi przykre, gdyż nie mam w domu nikogo, prócz starego Murzyna. Jeżeli pani do mnie pójdzie, to z pewnością tego nie pożałuje.



Tłumy ludzi oczekują przybycia do parlamentu angielskiego premjera Chamberlaina.

— Czy pan jest żonaty? — zapytał Mayer w imieniu Grety.

— Nie — odparł zapytany — ale co nie jest, to stać się może! Jeżeli by pani chciała, to w tej chwili bym się z panią ożenił. Czy godzi się pani na to, panno Greto?

Zakochał się w niej widocznie od pierwszego wejrzenia, bo oka od niej nie odwracał.

— Niech pani powie „tak", panno Greto! — nalegał — wiem, że pani nie ma majątku, ale to nic nie szkodzi, ja mam dość dla nas obojga. Chodźmy stąd wprost do sędziego i bierzmy ślub, czy chce pani?

— Jakże ja teraz o weselu mogę myśleć? — szlochała Greta. — Teraz, kiedy serce me rozdarte boleścią z powodu straty ukochanego brata. O bracie, bracie, gdybyś był został w ojczyźnie, nie byłbyś tak młodo zeszedł z tego świata!

Załamywała ręce w rozpaczy, a Mayer patrzył na nią ze szczerym współczuciem. Tak mu żal było tej biednej, opuszczonej, młodej istoty!

— Panno Greto — rzekł wreszcie — nie zna mnie pani wprawdzie, ale może mi pani zaufać. Jestem żonatym człowiekiem i mam fermę swoją tu w pobliżu. Żyję z moją żoną zupełnie samotnie w małym domku wśród lasów, a samotność będzie teraz najlepszą dla zranionego serca pani. Niech pani idzie ze mną i tak długo u nas zostanie, dopóki pani lepszego miejsca nie znajdzie. Potrzeba nam teraz pomocy, a moja żona będzie szczęśliwa, że będzie miała z kim pogadać.

— Czy mnie pan naprawdę chce wziąć ze sobą — zapytała Greta zapłakana, patrząc na Mayera z wdzięcznością — bo nie wiedziałabym zresztą, gdzie się mam udać!

— Niech pani lepiej za mnie wyjdzie, panno Greto — wtrącił farmer już trochę obrażony — będzie pani zaraz miała własny dom i zabezpieczony byt!

Ale Greta pokiwała smutno głową i rzekła:

— Jestem panu bardzo wdzięczna za dobroć, ale sądzę, że nie przyniosłabym panu szczęścia, gdybym w dom pana weszła z taką żałobą i z takim rozdartym sercem. Ja teraz o niczym myśleć nie mogę, jak tylko o moim biednym zmarłym bracie. Jeszcze raz dziękuję panu za pańską dobroć, a jak mnie pan chce jeszcze bardziej zobowiązać, to niech mi pan opowie wszystko, co pan wie o moim bracie!

Farmer bardzo zmartwił się odmową Grety, ale jej prośby i błagalne spojrzenia ułagodziły go trochę.

Opowiedział jej więc szczegółowo wszystko, co wiedział o jej bracie, a Greta słuchała słów jego z zajęciem.

Gdyby się farmer był mądrze zabrał do rzeczy, byłby powiedział:

— Brat pani umierając, powierzył mi pieczę nad panią i wychodząc za mnie, spełni pani jego ostatnie, najgorętsze życzenie!

Ale był zanadto ograniczony, aby wpaść na ten pomysł i zamiast tego zaczął jej wyliczać ile ziemi i bydła posiada i chwalił się, że byłby się już dawniej mógł ożenić, gdyby był chciał.

Wywody swoje zakończył, mówiąc:

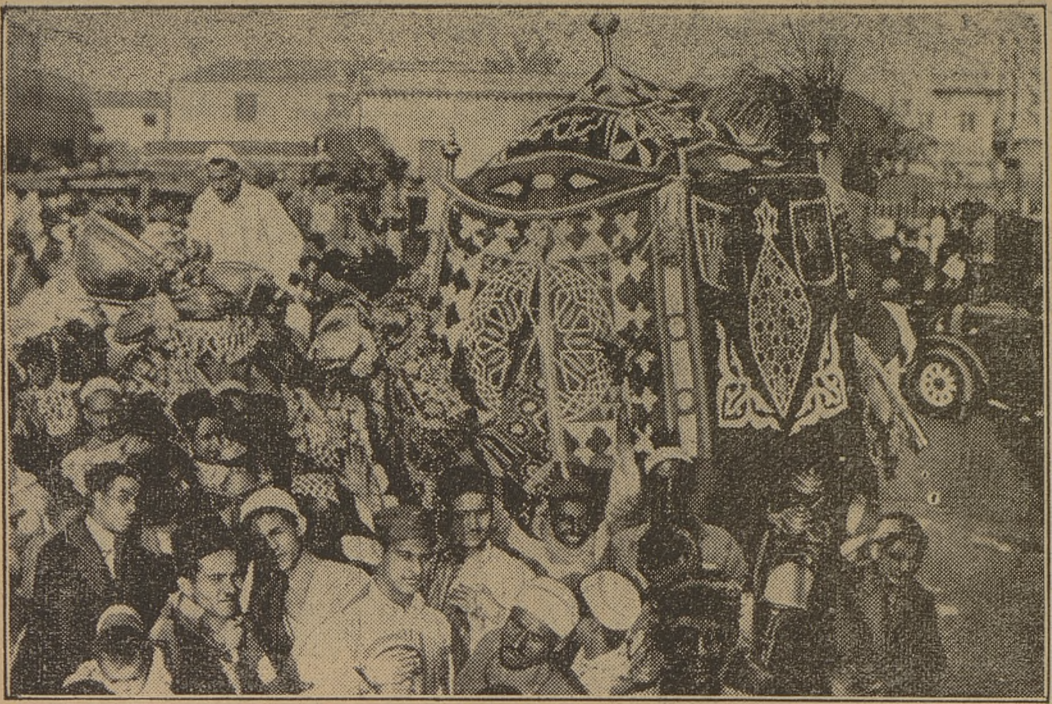
— Jeśli pani nie chce jeszcze teraz wesela, to zaręczmy się przynajmniej i niech się pani odrazu do mnie sprowadzi. Jak mnie pani bliżej pozna, to się pobierzemy.

— Dziękuję panu serdecznie — odparła Greta — ale ja wcale nie chcę za mąż wychodzić. Jeżeli mnie ten pan zechce wziąć ze sobą — tu wskazała na Mayera — to pójdę z nim i może sobie tam wkrótce znajdę służbę. Wtedy uskładam sobie pieniędzy na podróż i wrócę do swej ojczyzny.

— Postaram się zaraz o wóz i konie — rzekł Mayer — bo droga przez las piesza byłaby dla pani za długa.

To rzekłszy, wyszedł i opuścił lokal, a farmer zostawszy sam na sam z Gretą starał się ją znów nakłonić, aby z nim pojechała.

Widząc jednak, że ona obstaje przy swoim postanowieniu, wyciągnął z kieszeni duży, brudny dotes i wyrwawszy z nie-



W takich oto namiotach na grzbiecie wielbłąda podróżują kobiety mahometańskie.

go kartkę, napisał na niej niezgrabnym pismem swój adres, który podał Grecie.

— Widzi pani — rzekł — zdaje mi się, że pani będzie później żałowała, że rękę moją odrzuciła. Oto jest mój adres. Niech się pani rozmyśli i napisze mi, a ja przyjadę natychmiast i zrobimy wesele!

Aby nie obrazić przyjaciela zmarłego brata, schowała Greta podaną sobie kartkę do kieszeni.

Farmer zamówił tymczasem obiad dla siebie i dla swej uwielbianej, ale że Greta nic do ust wziąć nie mogła, zjadł wszystko sam, ponieważ już było zapłacone. Nie musiała go więc odmowa jej tak głęboko dotknąć!

Gdy Mayer wrócił, zastał farmera przy sutym obiedzie, zerkającego przytem spod oka na Gretę, płaczącą bezustannie.

— Chodź pani, panno Greto — rzekł Mayer uprzejmie — wóz już czeka na nas!

Wyniósł jej pakunki i pomógł jej przy wsiadaniu. Potem usiadł przy niej i rzuciwszy farmerowi uprzejme „Niech Bóg prowadzi", popędził konie i wóz ruszył.

Farmer patrzył za nimi zdziwiony, nie mogąc sobie jeszcze zdać sprawy z tego, co się stało. Dopiero gdy wóz zniknął mu zupełnie z oczu, ocknął się i zawołał:

— Boże, przecież ja nawet nie mam jej adresu! Jakże do niej napiszę?

Zirytowany wleciał do gospody i zapytał, czy kto zna tego pana, który właśnie odjechał.

— Nie — brzmiała flegmatyczna odpowiedź — sądziliśmy, że to znajomy pana.

— Ale furmana, który z nimi pojechał, pewno ktoś zna! — zaczął on znów swoje śledztwo.

Gospodyni obrażona tonem, którym do niej przemawiał, odpowiedziała:

— Było by to trochę za dużo, gdybym chciała nawiązywać znajomość z wszystkimi furmanami w mieście. Zresztą my tu nie mamy biura wywiadowczego — dodała oschle i odwróciwszy się od niego plecyma, zwróciła się do innych gości.

Farmer uderzył się w czoło i mruknął:

— Potom ujechał 300 mil, ażeby sobie dać spod nosa zabrać najpiękniejszą dziewczynę w świecie! Była teraz oszołomiona nieszczęściem, ale jak się trochę uspokoi, to do mnie napisze — pocieszał się — i jeszcze mnie będzie prosiła, abym po nią przyjechał. Zresztą zechce ona jeszcze napewno mieć to, co po bracie jej pozostało i choćby tylko w tym interesie napisze.

W ten sposób się pocieszał. Próbował też jeszcze dowiedzieć się o adres Mayera, ale i to mu się nie udało i zabrał się z niczym do domu.

Tymczasem dojechał Mayer ze swoją smutną towarzyszką do lasu, zerkając spod oka na piękną, młodocianą jej twarzyczkę, a boleść jej wzruszyła go do głębi.

Nie znosił zresztą łez. Gdy Zuzia zaczynała przy każdej najmniejszej sposobności wylewać strumieniami łzy, doprowadzała go tym do wściekłości, bo wyczuwał w tym komedię.

Grety boleść zaś była szczerą. Pochodziła z głębi serca i dlatego też przejęła Mayera. Uczuł dla nieszczęśliwej dziewczyny wielką sympatię i współczucie i rzekł do niej serdecznie:

— Niech pani tak nie płacze, panno Greto! Bratu pani już teraz lepiej niż nam; nie ma on już tam żadnych trosk i zmartwień! Była to wola Boga, a my biedni ludzie musimy się woli Jego poddać!

— Ach — szlochała Greta — pan nawet nie wie, jakim Wilhelm był dobrym bratem dla mnie i co ja straciłam! W domu jeszcze będąc, oddawał mi ostatni kęs, bo rodzicom naszym źle się powodziło, a gdy na służbę poszedł, szczędził na wszystkim i sprawiał mi za to buciki i suknie. Gdy rodzice nasi umarli, miałam dopiero 14 lat i od tego czasu zastępował mi ojca i matkę. Dla mnie tylko wyjechał on do Ameryki, bo chciał się dorobić majątku, aby kupić małą posiadłość i ze mną razem móc mieszkać i zapewnić dostatek. Nie znalazł on tu niestety szczęścia, za którym szukał, lecz wczesną śmierć!

Wybuchnęła na nowo gorzkim płaczem. Mayer ujął jej rękę i uścisnął ją z współczuciem.

— Brat pani był szczęśliwy, że miał taką siostrę. — rzekł — nie każdemu tak się wiedzie, że ma wierne, oddane sobie serce, na którym może polegać.

Mówił to z taką goryczą, że Greta spojrzała na niego zdziwiona.

— Czyżby on miał przykre doświadczenia w tym kierunku? — pomyślała.

Smutny wyraz jego oczu zdawał się potwierdzić to jej przypuszczenie, a bardziej jeszcze drżący jego głos, gdy dalej ciągnął:

— Pani straciła brata, ja zaś nigdy siostry nie miałem. Niech mnie więc pani odtąd uważa za brata za starszego, kochającego brata. Daj mi pani rękę na to!

Podał jej serdecznie swą dużą prawicę, a ona bez wahania wyciągnęła ku niemu swoją rękę. Mayer uścisnął ją serdecznie i umowa była zawarta.

Mayer nie przeczuwał sam, że uczucie jego dla tej obcej dziewczyny miało urość w gorącą namiętność. Sądził, że to braterska życzliwość i oddawał jej się bez granic.

Wpatrując się w nią, podziwiał każdy szczegół jej świeżej twarzy: urocze dołki w policzkach przy uśmiechu, bujne włosy, małe, różowe uszki.

— Gdyby ją tylko raz można było pogłaskać, po tych kasztanowych włosach — pomyślał — i raz ją pocałować, a potem umrzeć!

Tak był zajęty tymi myślami, że nic do Grety nie mówił. Ona zaś była mu za to wdzięczna, bo mogła się bez przeszkody oddawać swemu bólowi.

Wreszcie zatrzymał się wóz przed skromnym domkiem Mayera.

Zuzia, która dotychczas przy kuchni była zajęta, wybiegła naprzeciw swego męża, lecz odskoczyła zdziwiona, gdy go zobaczyła w towarzystwie młodej nieznajomej.

— Kto to jest? — zapytała drżącym, niepewnym głosem.

— To jest panna Greta Heller, która odtąd z nami będzie mieszkała — przedstawił Józef nowoprzybyłą — a to jest moja żona.

— Bardzo mi przyjemnie — odparła Zuzia blednąc śmiertelnie — proszę panią bliżej!

To mówiąc, wprowadziła ją do mieszkania, ale zazdrość rozdzierała jej serce.

— Jaka piękna! — myślała, patrząc na nią — co za niewinny i czysty wyraz twarzy, który dla niej wszystkie serca zdobyć musi!

Zaczęła żałować swojego własnego zmarnowanego życia i winy swej, która jej serce Józefa oziębiła i musiała w duchu przyznać, że jest sama sobie winna!

Wreszcie myśli jej skierowały się w inną stronę i ciekawość przemogła.

— Gdzie się Józef z nią mógł poznać? — pomyślała.

Tymczasem wniósł Mayer pakunki Grety i swoje próżne kosze. Potem potraktował woźnicę rumem i zapłacił mu za jazdę, po czym furman odjechał.

Mayer wszedł zaś do izby i zobaczywszy Gretę jeszcze w stroju podróżnym, rzekł:

— Niech się pani rozgości, panno Greto! Proszę złożyć swoje okrycie! Pani musi być porządnie głodna, czy masz gotową kolację, Zuzio?

— Jaki on troskliwy dla tej obcej dziewczyny — pomyślała Zuzia z bólem w sercu.

Ciąg dalszy na str. 273.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

WIOSNA, WIOSNA!...

Kołyszą się wokół drzewa,
świat dziś wygląda uroczo...
wnet cały las się rozśpiewa
wiosenną mocą...

Pan bociek gdzieś zaklekotał,
wróżąc słoneczną pogodę...
wiosenny wiatr zakołatał
w me serce młode...

Dziwne, tajemne skądś głosy —
chcą mnie uwodzić, namawiać...
wiatr pragnie mnie chwycić w ramiona
i harce wesołe wyprawiać...

Coś mnie unosi, porywa —
z drzew strąca blaski słońca...
ktoś tęskną melodię wygrywa
na łące.

Coś mnie radością upaja —
i śpiewa rapsodie miłosne...
To ludziom uśmiechy rozdaje
Wiosna...
— Wiosna!...

Jan Feliks Płóciennik.

NIE MAM ADRESU

„Jesienny Wicher“. Za pozdrowienia serdecznie dziękuję i odwzajemniam je mile.

Listu nie dosłałam, bo nie mam adresu tego pseudonimu — może później mi go nadeśle, to otrzyma ten list.

Proszę Cię o dalszą pamięć dla „Krainy“ i życzę pomyślności.

MOC DOBRYCH ŻYCZEŃ DLA CIEBIE!

„Kochane Oczęta“. Musisz Pani być żywą, jak iskierka i pieszczochą niesłychaną, co wnioskuję z dotychczasowych Twoich listów. Jesteś rzeczywiście słodką kapryśniczką i pewnie kochają Cię ludzie. Ciesz się z tego i zawsze miej w sobie tę radosną, prężną młodość, a nie zestarzejesz się duchowo nigdy. Wiekiem tak, ale nie duchowo i nawet fizycznie dłużej dzięki temu będziesz młoda.

A co tam u Maleńkiej mają tkliwą gościnę podobne intruzy, jak tęsknoty smętne i marzenia łzawe — hę?! Proszę to szybko, najszybciej odrzucić od siebie i zapomnieć, że w ogóle istnieje — koniecznie należy tak uczynić.

Ten pan miał trochę słuszności, zwłaszcza w orzeczeniu, że lubisz gonić za tym, co jest nieosiągalne. Recte, należy zgodzić się z jego zdaniem i pójść, o ile możności, po linii jego dobrej rady.

Nie mam nic przeciwko pisaniu listów na maszynie, przeciwnie, ułatwiają mi pracę.

Zasyłam Pani moc dobrych życzeń i czekam na nowy kochany liścik!

„Blanka“. Czy w Pani serdeszku zostanie jeszcze trochę miejsca dla mnie? Jestem bardzo ciekawa i ślę pozdrowienia!

„Samotna Dusza z Bydgoszczy“. Wzięła mnie Pani swoim zdaniem: Kocham to, co kochania warte. — Ja również kocham wszystko to, co piękne, wzniosłe i szlachetne i dążę zawsze do poznania wyższych ideałów. A chcąc je poznać, trzeba się wznieść ponad ziemskość — bo wszystko co fizyczne — to — to — skażone. Proszę się nie smucić i nauczyć się uśmiechać nawet wtedy, gdy serduszko boli. Jeśli ma Pani ochotę, proszę napisać. Jesteśmy obie nowicjuszkami. Ślę dużo dobrych spojrzeń i uśmiechów, lecz nie litosnych — jałmużny niech pani nigdy nie przyjmuje.

„Biała Uajali“. Mam dla Pani wiele — bardzo wiele uznania. Znam Panią z opowiadania „Zbiega“. „Żeni - Niewolnicy Smutku“. Przesyłam moc siostrzanych uścisków. Czy przyjmujesz je?“

„Smutna Kazieńka“. Mam dla Pani również dużo uznania, tylko nie podoba mi się Pani smutek. Jak można być smutną, gdy świat jest tak piękny, a ludzie tak dobrzy? Bo ludzie wszyscy są dobrzy — tylko trzeba umieć kształtować złe serca na dobre, a wówczas wyda nam się wszystko pięknym i dobrym. Proszę mi wierzyć. Pozdrawiam Panią!

„Mała Konwalijka“, czy też „Konwalijka“ — jedną z Pań bardzo kocham, tylko nie pamiętam, czy to jest „Konwalijka“, czy też „Mała Konwalijka“ — wobec tego obydwom ślę pozdrowienia i pa!

Halo! — Panowie Baranowski i Płóciennik. Pękałam ze śmiechu, czytając ostatnie „Moje Powieści“. Widziałam Was obydwóch, jak jeden z drugiego się wyśmiewa. A „Kochanym Oczętom“, „Maleńkiej Dziewczynce“, „Czarnej Czarodziejce“ — (tylko nie czasem czarnej czarownicy) nie poświęcicie żadnego wierszyka? To bardzo nieładnie z Waszej strony, abym musiała aż się upominać i prosić. Wobec tego za karę żądam od obydwóch: od profesora i od ucznia, bo inaczej pogniewam się śmiertelnie. Proszę ucałujcie Irkę III od Irki II i Irki I. Luteczku! Słodyczy moja! Słoneczko, które nigdy nie zachodzi — dlaczego do mnie nic nie piszesz. Ty smarkaczu! — chcesz, żebym się na ciebie pogniewała?

Z góry dziękuję Wam za wierszyki i pozdrawiam. Serwus! — Pa! Pozdrawiam również całą „Krainę“.

WIOSENNY KWIAT RADUJE

„Smutna i brzydka Irka“. „Iruś“ Droga! Dziękuję Ci, dziękuję, dziękuję za ten pierwszy kwiatek tegorocznej wiosny! Jesteś najmilszą istotką pod słońcem!

Adres wpisałam, dosyłając równocześnie zaległy list.

Zasyłam Ci równie słoneczny uśmiech i czekam na przyobiecany długi list!

SPEŁNIAJĄ SIĘ MARZENIA...

„Uran“. Owszem, spełniają się niniejszym marzenia Pana, „Uranie“ — przyjmuję Cię oto do grona naczej „Rodzinki“, czuj się w niej tak dobrze, jak bardzo zależało Ci na zostaniu jej członkiem.

Sądzę, że „Krainiacy“ okażą Ci przychylność i zainteresowanie, a Ty odpowiedz im równie serdecznie.

Zasyłam Panu uścisk dłoni i czekam na nowy list!

WIOSNA IDZIE!...

Ze skwarnych okolic południa wypełza,
Idzie przez lądy, pławi się w morzu.
Wszędzie zakwita jej barwny pejzaż
I nawet słońce świeci w przestworzu —
Jakoś inaczej!
Jakoś weselej!
Chociaż na polu wrona zakracze,
Chociaż miejscami śnieg się zabieli.

Wiosna już idzie i ciepłe rano
Zabłyszczy perłą jedwabnej rosy,
Co rolę zwilża świeżo zoraną
I trawom skrapla zielone włosy.

W parku kochane róże zakrwawią,
Zapach przynosząc nam znów w darze.
Obok rozkwitną astry jaskrawo
I na to wszystko zwrócimy twarze —
Twarze wesołe!
Twarze śmiejące!
Trzeba przed wiosną uderzyć czołem,
Trzeba uśmiechem powitać słońce.

Tadeusz Rawicki.

ZAMIESZCZAM KOMUNIKATY

„Sarenka“. Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i zamieszczam Twoje komunikaty dla „Rodzinki“:

„Czarny Hajduczku“ — Czy nie jesteś Stellą S.....? Pamiętasz wakacje nad Wartą w Poznaniu? Przypominasz sobie p. Zbyszka? — Serdeczne pozdrowienia dla: „Zrównoważonego lasia“ i „Czarodziejki“. Dla „Zewu Zachodu“ milutki uśmiech! Może Pan napisze do mnie?

JADĘ NA TARGI POZNAŃSKIE!...

„Tu — Alżek“. Dziękuję Panu serdecznie za te gorące słowa najwyższego uznania dla „M. Powieści“ — cieszą mnie one, lecz bodajże więcej jeszcze list Twój nadesłany nam po dość długiej przerwie. Myślę, że „Krainiacy“ podzielają moje zdanie.

Oczywiście, że Targi Pałuckie nie zawiodą i w tym roku, a nasze zakłady wystawią jak zwykle swoje stoisko. Czy można będzie w nim zastać Wujka Janusza i mnie? Owszem, ale nie zawsze, bo jakkolwiek odwiedzamy nasze stoisko, to jednak nie przebywamy w nim stale. Jednakże może Pan odwiedzić nas w redakcji, będziemy Ci bardzo radzi i nie omieszkamy pokazać całych zakładów.

Na Targach Poznańskich prawdopodobnie nie wystawimy naszego stoiska, zatem nie zastaniesz tam nikogo z nas.

Pozdrawiam Pana i zamieszczam apel:

„Halo, halo, „Krainiacy“ — jadę na Targi Poznańskie 1 maja br. i będę w Poznaniu 3 dni. Chciałbym się z kimś z „Krainy“ tam poznać. Kto zainteresuje się moją propozycją? Jeżeli znajdzie się ktoś taki, niech skrobnie, proszę liścik.

Całej „Krainie“ zasyłam „Czołem!“

UWIELBIAJ ZNOWU SŁOŃCE!

„Wędrowna Chmurka“. Nic się nie zaczyna psuć w Twoim życiu, Dziewczynko! Powiedz sobie, że nie tylko nic się nie pogarsza, ale przeciwnie, zaczyna jaśnieć pierwiosnek wiosennej pogody, radości i wiary w piękno i dobro życia.

Cóż z tego, że jeden człowiek sprawił Ci przykrość lub nawet wyrządził krzywdę — cóż z tego, gdy jest tyle innych ludzi, którzy poznają Ciebie i Ty ich poznasz i wspólnie nie sprawicie sobie zawodu! Człowiek winien zawsze przeć naprzód i zawsze nowych szukać doznań, a nie zasklepiać się w bólu i żalu oraz niechęci do całego świata.

Ty stanowczo przesadzasz i zbyt surowo traktujesz ludzi — tak nie można! Postaraj się ustosunkować przychylniej do otoczenia, a ręczę, że i ono okaże Ci niekłamaną sympatię. Ponadto naucz się mieć uśmiech dla swoich bliskich, znajomych oraz nieznajomych — przekonasz się rychło, jaką ma on w sobie moc magiczną. I niejako automatycznie zapomnisz o pesymizmach, tudzież innych melancholiach. Musisz odzyskać dawną pogodę i basta!

Halo! „Krainiacy“ — zwracam się do Was z apelem, abyście zajęli się tą „Chmureczką“ i nauczyli ją znowu uwielbiać słońce“!

TYLKO KOMUNIKAT!

„Zuch Dziewczyna“. Pozdrawiam Cię, Maleńka Dziewczynko i oznajmiam, że na razie zamieszczam tylko ten Twój krótki komunikat. Na listy odpowiem później. Bądź zdrowa i pisz!

„Henry“! Znam Pana i o ile się nie mylę, to pierwszą literą Jego nazwiska jest L—a ostatnią T. Czy tak? A że mieszka Pan w Lidzbarku — też o tym wiem, tylko nie **myślałam**, że Pan jest tym tajemniczym „Fakirem“. Pozdrowienia dla Pana i całej „Krainki“!

LIST ODESŁAŁAM

„Sztubak spod lasu“. List oczywiście odesłałam pod wskazanym adresem i myślę, że nadeszła już na niego odpowiedź bardzo miła. Czy się nie mylę?

A jak to było z tymi wakacjami zimowymi? Dlaczego nie opisał Pan bardziej szczegółowo przeżywanych wrażeń, tylko ograniczył się do skromnego stwierdzenia, że było miło i dobrze. Z ciekawością byłabym przeczytała coś bliższego z wspomnianych przeżyć Pana w górach. Proszę się w przyszłości poprawić.

Teraz przesyłam w imieniu Pana serdeczne pozdrowienia dla wszystkich harcerek i harcerzy z Krainy oraz „Czuwaj“!

POGROMCZYNIE SMUTKU!...

Halo! Mili „Krajacy"! Tu dwie pogromczynie smutku! „Kasztelanka" i „Andaluzjanka"! Zapraszamy Was na wielki „meeting" korespondencyjny! Dzięki uprzejmości Pani Zofii, znalazłyśmy się w Waszym licznym gronie, a teraz prosimy nie zapominajcie o nas!! Nie wiecie, kim jesteśmy? Jak wyglądamy?! A no — i tę sprawę postaramy się załatwić. A więc na pierwszy ogień występuje i prezentuje się.

„Kasztelanka". — Nie jestem ani mała, ani duża — ot, — taką czupurną dwudziestodwuletnią dziewczyną o dosyć wątpliwego koloru czupryne, figlarnych oczach, zawadiacko — ciekawym nosku i trochę na bakier, jak stara babcia z portretu, śmiejących się ustach. Lubię tańczyć, pływać, jeździć rowerem, i... robić niespodzianki. Wszystkim, którzy do mnie napiszą, zrewanżuję się szybką i prawdziwie „gazetową" odpowiedzią. A zatem odrobinę odwagi, o Nieznani! Ja czekam i oddaję głos swej towarzyszce!

„Andaluzjanka" — Portret mój (odbity w lustrze) wygląda mniej więcej tak: „mądre" czoło — „straszne" oczy — prosty nosek (z ruchliwymi chrapkami,) i dwa dołeczki na roześmianej buzi. Sylwetka... w tłumie nie podpada!... Całość niepiękna, niebrzydka, niemłoda, niestara. Uwielbiam... czyn i ruchliwość! Specjalnym sentymentem obdarzę tych, którzy podejmą trud napisania do mnie listu.

Wszystkim optymistom, zgromadzonym w „Krainie", przesyłamy ciepłe uśmiechy, a pesymistom słowa otuchy i pozdrowienia! Listy (dla ułatwienia) prosimy kierować na poste — restante Poznań 3, pod pseudonimy wyżej podane.

Tak oto zgodnym pokrzykiem odezwały się do Was, o „Krainiacy", te dwie nowe Wasze siostrzyczki. Odkrzyknijcie im wesoło i serdecznie!

BARDZO CHĘTNIE!

„Lena". Zaskoczył mnie trochę list Pani, niemniej z przyjemnością przyjmuję ją do „Rodzinki" i zaprezentuję naszym miłym „Krainiakom".

Nie uda mi się tylko jedno, a przynajmniej na razie — mianowicie wybranie dla Pani odpowiednio wymownego pseudonimu. Dlaczego? Dość prosty powód! Otóż po tym pierwszym liście nie zdążyłam jeszcze wytworzyć sobie obrazu Pani osoby i tym samym nie chcę dawać Ci pseudonimu, który przecież winien symbolizować całą osobę.

Naturalnie, że wolno, a nawet powinna Pani raz nawiązany przeze mnie kontakt z „Krainą" podtrzymywać stale. Ja zaś bardzo chętnie służę przyjacielską radą i przychylnością.

Zażenowana jestem Pani zachwytem nade mną, który zrodził się równie nagle, jak silnie. Ale to nam nie przeszkodzi w zawarciu serdecznej przyjaźni — prawda?

A może zrobisz kiedy wypad do pewnej redakcji w Żninie? Bardzo byłabym Ci rada.

A teraz przedstawię Panią jej własnymi słowami „Rodzince":

„Jestem niewysoką, niebieskooką brunetką. Niedawno zdałam maturę, mam lat dziewiętnaście (właściwie prawie 20). Usposobienia jestem niezwykle wesołego, pogodny humor nigdy mnie nie opuszcza i uśmiechem upiększam sobie życie. Niemniej, bardzo miło było by mi nawiązać kontakt z członkami „Krainy". Czy znajdzie się ktoś taki? Pozdrawiam najserdeczniej i czekam!

NIE PAMIĘTACIE!

„Lang - Cheng". Dziękuję Pani za nadesłanie adresu i wyjaśnienia, które było mi nader pomocne.

Ucieszyła mnie wiadomość, że „Bajkał" jest Twoją przyjaciółką — mam ogromnie dużo przyjaźni dla tej miłej „Krainianki".

Sensu nie ma tak myśleć, że jesteś niepotrzebną gdziekolwiek, a tymbardziej w naszej „Krainie"! Ja np. bardzo dużo mam dla Ciebie serca i doprawdy boli mnie to, że tak upierasz się, aby nie czuć serdeczności, którą radabym Cię obdarzyć! Czy się już poprawi maleńka wątpiąca „Lang - Cheng"?

Słuchajcie, jak gorzko nam ona wyrzuca niepamięć o niej:

„Nadeszła wiosna, dzisiaj pierwszy jej dzień, taki śliczny, ciepły! Miejmy nadzieję, że może i dla mnie przyniesie trochę ciepła i czyjąś przyjaźń, chociaż... „Krainiacy" o mnie nie pamiętają! Może sądziłam dotychczas mylnie, bo przecież wzywa mnie Pani o podanie adresu, więc jednak ktoś zainteresował się mną? Jak się cieszę!

„Bajkał", czy zapomniałaś o mnie? Co się stało, że nie piszesz?

Moc serdeczności dla wszystkich „Kraniaków".

HARCERZYKA PROSZĘ O ADRES!

„Educh". Przyjmuję Pana do „Krainy" lecz proszę o nadesłanie adresu.

„Educh" jest to młody harcerzyk, który ma poza sobą obozy w Rumunii, Holandii, Czechosłowacji, Spale i kilka pomniejszych, choć równie dobrych. Pragnie on nawiązać korespondencję z młodymi „Krainiakami" i „Krainiankami", a głównie z członkami rodziny harcerskiej. Odpowiedź na listy przyrzeka solennie.

Pozdrawia całą „Krainę", a specjalnie „Jagienkę", „Smutnego Sztubaka", „Ninę - harcerkę z R.", „Marutę" i „Zuch - dziewczynę".

NIE DOSŁAŁAM!

„Czarodziejka". Listu Twego nie dosłałam, gdyż nie mam adresu tego pseudonimu. Za pozdrowienia dziękuję, jak również za dzisiejszy list radosny — odpowiem na niego, gdy przyjdzie kolejka.

Życzę Ci dalszego dobrego samopoczucia i bywaj zdrowa!

Teczka Wujka Janusza

NIE ZNAM...

„Wandzia z B." Historii życia p. C. nie znam, ale mogę Panią zapewnić, że i tacy ludzie mają swoje zmartwienia i troski i często nie potrafią sobie wypełnić życia tym, co ma tak promienne imię, mianowicie szczęściem.

Nadesłane przez Panią wierszyki podobają mi się. Jeden z nich — „Wiosną"... — zamieszczam niżej.

Pisze Pani, że ma ochotę nawiązać korespondencję. Zasadniczo, tego rodzaju apele zamieszcza p. Zofia, ale robię wyjątek i na łamach mojej „Teczki" zwracam się do bajecznie miłego grona „Krainiaków", aby rozpoczęło walkę na pióra z „Wandzią z B." Przypuszczam, że decyzja opłaci się! Aha, jeszcze jedno: „Wandzia z B." ma wielką ochotę nawiązać kontakt listowny z Panem Adamem Czekalskim. Czy sympatyczny Autor poczytnych w naszym tygodniku powieści, zgodzi się na to?

WIOSNĄ...

O wiośnie szepcą cicho
konary nagich drzew,
O wiośnie śpiewa echo
i ziemi każdy zew.

I serca śnią o wiośnie,
o szczęściu i kochaniu
I usta drżą miłośnie
przy wiosny powitaniu.

„Wandzia z B."

WIERZĘ

„Słodka Gabi". Pierwsze wierszyki nie udały się, ale to przecież normalne i zupełnie uzasadnione. I Kraków nie odrazu zbudowano, prawda? Z czasem, gdy przestudiuje Pani poezje nowoczesnych poetów, gdy pojmie Pani trudną do opanowania technikę wierszowania, będzie Pani pisała lepsze utworki. Wierzę w to!

Pragnie Pani ujrzeć kiedyś w „Moich Powieściach" wierszyk dla siebie? A więc polecam powyższe uwadze wszystkich poetów — moich przyjaciół.

WIERSZE ZNALAZŁY GOŚCINĘ W MOJEJ TECZCE

„Biała Udjali". Próbowałem uczynić zadość prośbie Pani, ale oto czego się dowiedziałem: w teczce redakcyjnej „Mojej Przyjaciółki" znajduje się tyle materiału wierszowego, że utworów początkujących poetów w ogóle się nie przyjmuje. Siłą faktu przeszły więc wiersze Pani do mojej teczki i tutaj znalazły pełne uznanie. Na pierwszy ogień pójdzie wiersz — „Lecą wichry"...

LECĄ WICHRY...

*Dobrej Pani Zofii Zdanowicz
z wspomnieniem świetlanej
duszy Hanny Krzemienieckiej
— poświęcam:*

Wśród szarych gałęzi odwiecznego, nowowiejskiego parku
Błąka się wizja przejasna świetlistych wspomnień z przed laty —
Budzi się dawny świat dumań i istnień i marzeń!...
Świat tamtych chwil, tamtych dni i tamtych wydarzeń!...
W koronie szarych gałęzi wichrową piosnką drgających,
W gałęziach smreków, w wiecznych tęsknotach ku niebu dążących,
W każdej ścieżynie biegnącej wśród omszonych pni —
Drga przecudne wspomnienie przejasnych, cichych dni...
— Lecą wichry... i niosąc mistyczne słowa wśród drzew je kryją;
Myśli przejasne... rozlewne jak mgły... myśli czyjeś...
— — — — — — —
Lecą wichry... i łkają — pieśń wspomnienia przejasną,
Motają serce nicią dumań i marzeń bez końca...
I trwają! I wiecznie tu będą żyć — nigdy nie gasnąc —
Jak lśniące, światłem darzące promienie słońca!

Kaja Purollówna.

WITAM!

„Uran". Witam Pana po tylu miesiącach rozłąki i tajemniczego milczenia. Dał mi Pan największą satysfakcję, pracując z powrotem do nas z pieśnią pochwalnych słów na ustach i mocą dobrych uczuć w sercu.

Wierszyk Pana przyjmuję, jednakże apel do „Krainiaków" składam w ręce Pani Zofii, która gładko i szybko się z nim upora.

A teraz kilka słów á propos nadesłanych wierszyków: otóż posiadają one kilka niedociągnięć, jednakże wyrażają miłe i logiczne myśli. To ostatnie utwierdza mnie w tym, że następne utworki Pana będą gładsze i lepsze. Czekam zatem!

NIE WARTO...

„Słodkiej Dary" dedykuję.

Miłość to cudny w życiu kwiat,
Zachwyca się nim każdy.
Miłość przesłania sobą świat,
Słońce, a nawet gwiazdy.
Lecz kiedy przyjdzie smutny kres
Miłości dwojga ludzi,
Och, wtedy źle i rób co chcesz,
Dni dawnych już nie zbudzisz.
A więc nie warto kochać, nie,
Nie warto serca łudzić,
Szczęście ucieka gdzieś, jak zew —
Nie ma szczęścia wśród ludzi.
Jak siny z papierosa dym
Uchodzą szczęścia chwile,
Zostaje walka z losem złym
I dni przesmutnych tyle.

„Blanka".

Raj kobiet





Elegancki wiosenny komplet dwuczęściowy: sukienka (I 98 014) układana w fałdy, z wstawieniem kamizelkowym, wykonanym z białej crêpe de chine i żakiet redingot, dwurzędowy (I 98 013). Wyłogi i kołnierz można obszyć futerkiem lub aksamitem.

I 98 010. Śliczna sukienka spacerowa z wełny w szkocką kratę; krata dana ukośnie.

I 98 021/22. Miękki komplet wiosenny, składający się z sukienki sportowej i płaszcza z tego samego materiału. Wyłogi obszyte aksamitem w kontrastowym kolorze.

Kroje powyższe (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 2,— zł.

I 2 033. Płaszczyk wiosenny z gabardyny, dla młodej pani. Oryginalny jest krój rękawów. Potrzeba około 2,60 m. mater. szer. 140 cm.

I 2 091. Miękki i miły płaszczyk dla dziewczynki, wykonany z ciemno-niebieskiej gabardyny. Potrzeba około 2,10 m mater. szer. 130 cm.

Te dwa kroje (Lyona) nabyć można w naszej administracji w cenie 1,60 zł.

Modna pełna linia u kobiet

Wiedeń propaguje nową modę kobiecą, wymagającą radykalnej kuracji. Ogłoszona została krucjata przeciwko szczupłym kobietom, które przestały być modne, a co za tym idzie, — przestały się podobać.

Nowa modna obecnie sylwetka kobieca winna posiadać t. zw. „pełną linię" w odróżnieniu od smukłej linii. Nie rażą nawet kobiety o pełnej tuszy. W każdym razie za normę uważana jest waga 68 kilogramów przy wzroście 1 m. 65 centymetrów.

Podkreślić należy, iż nową normę wagi określa w ten sposób Paryż podczas gdy Wiedeń lansuje sylwetki jeszcze pełniejsze, dodając do wymiarów paryskich 10 kilogramów wagi. W wiedeńskich pismach codziennych pojawiają się obecnie ogłoszenia rozmaitych specyfików wywołujących i działających dodatnio na tuszę.

Poza tym widnieją również recepty najrozmaitszych lekarzy, którzy zalecają kurację tuczącą, składającą się z obfitego pożywienia, a zwłaszcza tłuszczów, potraw mącznych, cukru i śmietanki. W odpowiedzi na tę nową modę w Wiedniu powstały nowe kawiarnie i cukiernie, cieszące się wielkim powodzeniem.

Płeć piękna przestała się bowiem głodzić i zaczyna — jeść.

Na temat nowej mody kobiecej, wynikł zresztą w stolicy naddunajskiej spór, albowiem szczupłe kobiety zarzucają, iż nową modę propaguje liga spożywców w Austrii, stowarzyszenie mające na celu propagowanie wzmożonej konsumcji artykułów rolnych i ich przetworów.

W każdym razie nie brak w Wiedniu zwolenników nowej mody, co się daje wyraźnie dostrzec na ulicach miasta.

Kapelusz na głowie męskiej, a psychologia

Prezes angielskiego związku sprzedawców kapeluszy męskich, który jest sam właścicielem wielkiego składu kapeluszy, wystudiował psychologię swoich klientów. Wyniki obserwacji czcigodnego psychologa doprowadziły go do wniosków następujących: a) mężczyzna, który wkłada kapelusz prosto i równo — to człowiek zasługujący na zaufanie, o solidnym charakterze; b) wystrzegać należy się ludzi, którzy noszą kapelusz na bakier, nasunięty na lewe ucho — są to lekkoduchy, rozrzutnicy, karciarze, oszuści matrymonialni (sic), niekiedy zaś uwodziciele; c) typem idealnego męża i w ogóle człowieka są ludzie, którzy noszą miękkie, czarne, filcowe kapelusze.

Dobrze, że przewodnik psychologiczny prezesa kapeluszników ukazał się w poważnym Londynie; w Paryżu taka enuncjacja unieśmiertelniłaby autora, stwarzając temat dla piosenkarzy, humorystów, karykaturzystów, stałaby się kopalnią pomysłów dla autorów fars i skeczów kabaretowych.

Kosztowna parasolka

Wielka Brytania jest niewątpliwie ojczyzną wolności. Jednak zapał tyle słynnej policji londyńskiej często narusza największe prawa i to najwyższe dobro, jakim dla każdego Anglika jest wolność osobista. Oto niedawno prasa angielska podniosła szum dokoła właściwie zabawnej przygody, która spotkała czcigodnego Johna Patricka, Anton Ludlow'a aktora i autora dramatycznego liczącego sobie równych 34 lat.

Oto pewnego razu p. Ludlow, czekając sobie spokojnie na przystanku autobusowym został aresztowany przez dwóch tajnych agentów i odprowadzony na posterunek. Jedynym przestępstwem, które popełnił było to, iż miał... dwa parasole, jeden rozpięty nad głową, dla ochrony przed gęstą mgłą londyńską, drugi trzymał pod pachą. Oczywiście pan Ludlow poprostu był szczęśliwym posiadaczem dwóch parasolek i właśnie jedną z nich niósł do reperacji. Wymknęło się to ubogiej wyobraźni policjantów, którzy oskarżyli go o kradzież parasolki. Pan Ludlow zaprotestował energicznie, wówczas przyznano mu odszkodowanie 300 funtów, co jest niezłą ceną, jeśli ją porównać z wartością parasolki i krótkim czasem straconym przez aktora w komisariacie. Poza poczuciem sprawiedliwości i porządku, wartałoby i u policjantów (nawet angielskich) wykształcić nieco fantazję.

Świat i życie

Czy istnieje życie na planetach?

Nie tak dawno jeszcze wolno było fantastom snuć domysły na temat życia mieszkań-

ców Marsa i Księżyca. Wiedza współczesna rozwiewa jednak nasze nadzieje pod tym względem. Twierdzi kategorycznie, że na wszystkich planetach systemu słonecznego, oprócz Ziemi i Wenus, warunki fizyczne z góry uniemożliwiają powstanie zjawiska zwanego życiem. Na małych planetach, jak np. Merkury, życie jest niemożliwe, ponieważ jej siła grawitacyjna jest zbyt słaba dla utrzymania własnej atmosfery, która rozprasza się w kosmosie. To z kolei wywołuje brak wody i tlenu.

Na wielkich planetach, w rodzaju Jupitera, który jest tysiąc razy większy od ziemi, życie nie istnieje dla przyczyn wręcz przeciwnych: siła grawitacyjna Jupitera jest tak wielka, iż posiada on atmosferę nadzwyczaj gęstą, która uniemożliwia wydzielanie się wodoru. W rezultacie istnieje tam atmosfera, składająca się z pary wodnej i pewnych gazów. Gdy nadchodzi mróz, owa para zamarza. W ten sposób na planetach wielkości Saturna, Urana i Jupitera tworzą się pola lodowe, pokryte gęstą atmosferą, która wywiera ciśnienie paru tysięcy ton na kwadratowy centymetr. I tu również nie ma mowy o życiu.

Jak wiadomo, żadna planeta nie posiada własnego zapasu ciepła, lecz wszystkie muszą je czerpać od słońca. Stopień ciepłoty każdej z nich zależy wyłącznie od odległości od słońca. Na bliskich słońcu planetach, jak Merkury, temperatura wynosi kilkaset stopni powyżej zera. Na planetach zbyt odległych od źródła światła, temperatura staje się tak niska, iż lód wydałby się parzącym w porównaniu z nią. W obu tych warunkach życie jest nie do pomyślenia. A więc wyłącznie na planetach o wielkości Ziemi lub Wenus w jakimkolwiek systemie planetarnym może istnieć życie. Przy czym od wielkości i odległości od centrum układu zależy siła grawitacji, która reguluje stan atmosfery i temperatury. Są jeszcze inne, mniej ważne czynniki, których istnienie jest warunkiem życia, lecz najważniejszym jest pewna wąska granica temperatury.

Jeśli chodzi o Wenus, planeta ta posiada zapewne życie roślinne i przypuszczalnie pewne, bardzo wczesne formy życia zwierzęcego.

T. M.

Dr. Jarosz jest zadowolony z wyników swej wyprawy na Wyspę Kościuszki

Wskutek burz szalejących na północnym Pacyfiku podróżnik polski dr. Jarosz został zupełnie odcięty od swego obozu przez kilka dni, gdy opływał zachodnie brzegi Wyspy Kościuszki. Znalazłszy się wśród licznych raf, grożących mu poważnym niebezpieczeństwem rozbicia łodzi, dwa dni musiał obozować u wylotu zatoki Shipley nim dotarł do osady Shakan.

Rybacy tamtejsi powitali naszego podróżnika serdecznie, jako znajomego sprzed dwu laty, a jeden z nich nawet podjął się przewieźć go motorówką z powrotem do obozu. Chcąc uniknąć niebezpiecznych miejsc od strony otwartego oceanu wybrano drogę okrężną, wzdłuż wschodnich brzegów wyspy.

W połowie drogi, w Cieśninie El Capitain na motorówce wybuchł pożar przy napełnianiu zbiornika gazoliną. Pożar wprawdzie ugaszono i uratowano łódź od zatonięcia, motor jednak uległ zniszczeniu i nie było innego wyjścia jak dalsze wiosłowanie. Wspomniany rybak zawrócił do Shakan a dr. Jarosz w swej łodzi, którą holował, przypłynął w stronę najbliższej wysepki, na której Indianie mieli kilka szałasów i wędzarnie.

Tam jednak spotkała naszego podróżnika bardzo przykra przygoda. Indianie bowiem, obozujący tam, nie pozwolili mu zatrzymać się na owej wysepce, chociaż była ona jedynym dogodnym schronieniem podczas burzy.

Powodem ich wrogiego stanowiska wobec dr. Jarosza było to, że przebywał w Zatoce Diablej Ryby. Na ogół Indianie odnoszą się zupełnie przyjacielsko do przybyszów z wyjątkiem tych, którzy przebywali w owej Zatoce, gdyż zabobonnie wierzą, że sprowadzają oni śmierć do osady.

Indianie wiedzieli, że dr. Jarosz przebywał w owej zatoce, dlatego też — aczkolwiek przed dwoma laty gościli go — tym razem, gdy zauważyli, że rozbija obóz, a przy tym robi zdjęcia filmowe, napadli nań i zmusili do opuszczenia wysepki.

Podróżnik nasz, bezsilny wobec przemocy Indian, pomimo burzy musiał płynąć dalej, aż po kilku godzinach walki z wichrem i wzburzonymi falami, które zalewały łódź, dobił z powrotem do brzegów Wyspy Kościuszki.

W końcu września ub. r. dr. Jarosz opuścił ostatecznie Wyspę Kościuszki i statkiem pocztowym podążył do wsi indiańskiej Klawok, a stamtąd do Ketchikau, gdzie odwiedził zamieszkałych tam Polaków, po czym powrócił do Stanów Zjednoczonych.

Mimo trudnych warunków w jakich odbyła się wyprawa na Wyspę Kościuszki, uczony polski przeprowadził zamierzone prace i z wyników wyprawy jest zadowolony.

Jeszcze jedna ekspedycja naukowa

Muzeum przyrodnicze w Nowym Jorku wysłało ekspedycję w celu zbadania jednego z najdziwniejszych i dotychczas niezbadanych szczytów wulkanicznych, góry Sziwa w Arizonie, zwanej „Świątynią Sziwy". Góra ta jest właściwie wielkim blokiem skalistym, którego prostopadłe ściany posiadają 1000 m. wysokości. Szczyt ma stanowić rozległą równinę, lecz nie zdołano się jeszcze o tym przekonać ze względu na jego niedostępność. Nawet samoloty nie badały płaszczyzny na szczycie góry Sziwa z tej przyczyny, że panują tam stałe wiry powietrzne, utrudniające przelot i lądowanie.

Świat naukowy przypuszcza, że na szczycie tej góry, której wiek oceniają geologowie na 35.000 — 100.000 lat, może być zachowana fauna i flora z przed tego okresu, ponieważ cały teren został wulkanicznymi siłami wyrzucony w górę do 1.000 m.

Potwierdzają to legendy w Arizonie, według których na płaszczyźnie, stanowiącej szczyt „Świątyni Sziwy", znajduje się legendarny raj. Ekspedycja jest doskonale wyposażona, aby przeciwstawić się trudnościom wyprawy. Specjalny aparat nadawczy będzie zawiadamiał zainteresowanych, z czym spotkali się przyrodnicy na szczycie góry Sziwy.

Rena

Rena ma dziewiętnaście lat. Rena jest zakochana. Myśli o nim ciągle. I w biurze, pisząc na maszynie i wieczorem, gdy zmęczona kładzie się spać. Wtedy dopiero puszcza cugle fantazji. Najczęściej na nutę tragiczną. Może dlatego, że Rena z natury jest sentymentalna. Może dlatego, że kocha się nieszczęśliwie. Poznali się zimą w górach. Na Hali Gąsienicowej. Była rozkoszna, biała zima. Zaczęli flirt. Rena od razu wzięła to zbyt poważnie. Porwały ją jego ideały społecznika, olśnił ją rozmachem myśli, zapatrzyła się w jego niebieskie oczy... Zaczął jej unikać. Dlaczego, nie wiedziała. Dopiero przed wyjazdem powiedział jej, że jest za młoda.

Rena przyjechała do miasta. Przyjechała zakochana. Zaczęły się niespokojne noce. Trwało to, dopóki go nie spotkała. Kiedyś zupełnie przypadkowo. Byli w jakiejś małej cukierni. On najpierw przeglądał gazety, potem dopiero z rozbrajającym uśmiechem raczył się nią zainteresować.

I tak minęła wiosna...

Tylko, że dziś Rena już nie jest za młoda. Rena pracuje, Rena ma zmartwienie i Rena zdecydowanie kocha. Parokrotnie już chciała zapomnieć, nie może!... Wszędzie widzi jego niebieskie oczy... I w biurze przy maszynie, i wieczorem, kiedy zamknie oczy i słucha ulubionego Chopina i w kościele, gdy patrzy na oświetlony ołtarz.

Dlaczego go kocha? Sama nie wie. Może, że on nie jest taki jak wszyscy mężczyźni, co ciągle oświadczają jej swą miłość. Tylko on tego nie powie... Rena wie, że ją lubi, bardzo nawet lubi, ale nie jest dla niego tym, czym on dla niej...

Może dlatego Rena go kocha.

Idą we mgle. On ma zmarszczone czoło i jak zwykle myśli zapewne o polityce. Ona myśli o nim.

— Reno, ty się za bardzo do mnie przywiązujesz. Czyż można uczuciom rozkazować? Widzisz, Rena, namyśl się dobrze zanim coś postanowisz; moje życie, to walka, to szukanie i niepokój, nie zbuduję ci cichej przystani, dlatego nie wahaj się i jeśli kto inny...

Już ci powiedziałem, co sądzę o tym. Ale jeżeli chcesz... Dobrze, wyjdę za Janka, a może lepiej za Jurka. Przyjdziesz na mój ślub?

Nie, ale poślę ci telegram.

Rena śmieje się przez łzy. — Jaki ty jesteś zabawny.

A jednak Rena czuła, że zbliża się koniec. To już ciągnęło się nie od jednego tygodnia. Zaczęło być za bardzo przyziemne. Może zrobiła to jego rażąca obojętność, brak czasu. A może jej egoizm, i brak zrozumienia.

Zdecydowała się. Miał twarz spokojną, był przygotowany. Rena też. Powiedziała wszystko, żeby nie miała potem żalu do siebie, że powiedziała za mało. Przez cały czas panował przerażający spokój. On podniósł się w pewnej chwili z krzesła i powiedział...

— Renka, nie miej żalu do mnie. — Zrobił przy tym ruch, jakby chciał odejść.

Rena uczuła, że traci go na zawsze...

— To przecież nasz ostatni wieczór, nie musisz jeszcze odchodzić! Usiadł z powrotem. Delikatnie wziął ją za ręce. Rena uczuła, że wszystko zawirowało, że jest tylko on i ona, że reszta nie ma znaczenia. Rena czuła, że to jest szczęście.

A potem patrzyli sobie długo w oczy. Zapomniał na chwilę o czasie, o polityce o wszystkim...

— Renka, masz bure oczy...

— Ty nigdy o mnie nie zapomnisz, ty nigdy o mnie nie zapomnisz? — powtarzała, jak zaklęta. Mówiły o tym jej oczy i szeptały usta.

— Prawda, że nigdy nie zapomnisz?

— Jakbym mógł, Renka...

I byli na chwilę, jak dzieci.

I powiedziała:

— Ty nigdy o mnie nie będziesz mógł zapomnieć, choć nie będziemy mężem i żoną.

Rena wyjechała na święta w góry. Wszelkimi siłami chciała zapomnieć. Omotał ją szał zimy, porwały długie deski nart, nieznane przestrzenie, owiał wiatr i śnieg, wycałowało słońce.

Jeździła z pasją. Rano, kiedy jeszcze biała mgła unosiła się z gór, Rena wypijała duszkiem gorącą herbatę, wynosiła deski i wyruszała w nieznane. Zaczarowanym szlakiem choinek, wśród białych okiści i granatowych cieni, mknęła elastycznym ruchem, przed siebie cała oddana temu cudownemu pędowi —. Nie myślała o niczym. Wyzwolona od dymnych kominów i sadz, oddychała teraz pełną piersią wonią żywicy, lasu i wiatru. Stawała jedynie na odpoczynek. Wyciągała wtedy zmęczone ramiona, przechylała w tył głowę i czekała, aż znowu ją porwie białe szaleństwo.

I tak było przez całe święta. Jedynie w wilię...

Choinka była cała zielono-srebrna. Śpiewał ktoś kolędę. Za oknem noc granatowa i gwiazdy. Księżyc wypłynął białym sierpem. Ktoś śpiewał kolędę. „Lulajże Jezuniu..." Rena stanęła cicho przy oknie i ujrzała jego gwiazdę.

A potem znowu szare dni w biurze, stukanie miarowe, pisanie sald. Myśli, jak ptaki, błądzą w obłokach dymu i pyłu... Znowu trzeba przekreślać i przepisywać cały arkusz. A śnieg pada wielkimi płatami... Przykrywa wszystko. I ziemię i dachy i serce... Dobry śnieg!

Aż przyszedł ten dzień. W słuchawce wyraźnie zabrzmiały słowa?

— Chory na zapalenie płuc.

Rena spokojnie zamknęła za sobą drzwi od kabiny. Włożyła płaszcz, beret, rękawiczki. Zbiegła po schodach. Znalazła się na ulicy. Chory na zapalenie płuc. Dzwoniły jej w uszach wyraźne, metaliczne słowa ze słuchawki.

Rena zaczęła biec. Znalazła się wreszcie na czarnej ulicy. Weszła po schodach na górę. Stanęła przed oszklonymi drzwiami. Chwilę szukała wzrokiem, potem gwałtownie nacisnęła klamkę i weszła...

Przywitały ją gorączką błyszczące, nieprzytomne oczy i słyszane kiedyś słowa:

— Rena, masz bure oczy...

I usłyszała, jak przez mgłę: — Ty nigdy o mnie nie zapomnisz!...

Jej własny był to głos.

K.

Mogła była krzyknąć głośno i obrzucić go wyrzutami za to, że się tak tej Grecie oddaje, a czyż ona miała prawo robić mężowi swemu o to wyrzuty; ona, która go tyle razy zdradziła?

Nie, ona sama była sprawczynią swego losu! Zbierała teraz to, co sama posiała!

Z natężeniem wszystkich sił moralnych, starała się przynajmniej na pozór spokojnie wyglądać. Postawiła na stół jeszcze jeden talerz z łyżką, widelcem i nożem i podała do stołu.

— Kurę nam dziś Zuzia przygotowała! — zawołał Józef uradowany — to był mądry pomysł! Musiałaś przeczuwać Zuziu, że ci tak miłego gościa przywiozę?

— Nie, Józefie — odparła Zuzia — tak mądrą nie jestem, abym to przewidzieć mogła. Chciałam tobie tylko przyjemność sprawić tą sutą kolacją. Potem zwróciwszy się do Grety rzekła:

— Trzeba pani wiedzieć, że ja mam najlepszego męża w świecie! Poszedł dzisiaj raniutko do miasta bez śniadania, aby mnie nie budzić. Tego by przecież żaden inny nie zrobił. Mało jest takich mężów na świecie.

— Nie wychwalaj mnie tak! — bronił się Józef zaambarasowany — czynię tylko to, co jest moim obowiązkiem i nic więcej!

Zaczerwienił się przytem aż po uszy, i aby ukryć zaambarasowanie chwycił za nóż i rozkroił kurę na trzy części. Potem położył przednią, mięsistą część na talerz Grety, Zuzi dał plecy, a sobie wziął skrzydła i kolana.

— Źle sobie wybrałeś, Józefie — rzekła Zuzia — masz tylko skórę i kości. Zamieńmy się z talerzami!

— Zostaw — rzekł Mayer zniecierpliwiony — nie jestem głodny, bo śniadałem we Friedrichskron. Zaczął jeść zupę z wielkim apetytem. Zuzia poszła za jego przykładem. Tylko Greta nie tknęła swej porcji, a łzy ściekały jej bezustannie po policzkach.

— Niech pani przestanie płakać, panno Greto — prosił Mayer — ja już na to patrzeć nie mogę.

— Ja sama nie wiedziałam, że człowiek tyle łez mieć może! — szlochała Greta — mój biedny brat! Nie byłoby mnie jeszcze tak bolało, gdybym wiedziała, że umarł naturalną śmiercią, ale myśl, że padł ofiarą jakiegoś okrutnika, nie daje mi spokoju!

— Spotka go pewnie zasłużona kara, rzekł Mayer solennie.

— Ale mój Wilhelm już nie zmartwychwstanie — odparła Greta i zwróciwszy się do Zuzi, zaczęła jej opowiadać smutne swe przejścia.

— Czy brat nic pani nie zostawił? — spytała Zuzia.

Mayera przykro poruszyło to pytanie Zuzi, które było dowodem jej chciwości. Greta spojrzała na nią zdziwiona.

— To by mi nie czyniło różnicy — odpowiedziała — gdyby mi nawet był zostawił tysiące, to przecież nie odżyłby i byłby dla mnie stracony.

— Słusznie — rzekła Zuzia — ale przecież byłaby to dla pani wielka różnica. Biednej dziewczynie źle na świecie. Znajduje dużo wielbicieli, ale ani jednego konkurenta.

— Ja nie chcę za mąż wychodzić — odparła Greta smutno — a na chleb zawsze sobie zarobić potrafię. Jestem zdrowa i młoda i znam każdą robotę przy gospodarstwie. Proszę mi zaraz wyznaczyć moje zajęcie, bo ja nie chcę być państwu ciężarem.

— Dziś musi pani przede wszystkim wypocząć po trudach podróży — zawołał Mayer w miejsce żony, a potem dodał — ależ pani nic nie je! Czy pani nie lubi rosołu z drobiu! W takim razie Zuzia zgotuje pani świeżych jaj.

— Jeszcze się osobno trudzić dla tej wywłoki — myślała Zuzia ze złością — niech będzie zadowolona, że w ogóle jeść dostaje!

Greta odpowiedziała ze łzami:

— Jadam bardzo chętnie rosół, ale dziś nic bym przełknąć nie mogła. Cios był zanadto wielki i niespodziewany! Nie tak prędko to przeboleję.

— Biedne dziecko! — rzekł Mayer ze współczuciem. — Niech Bóg pani pomoże!

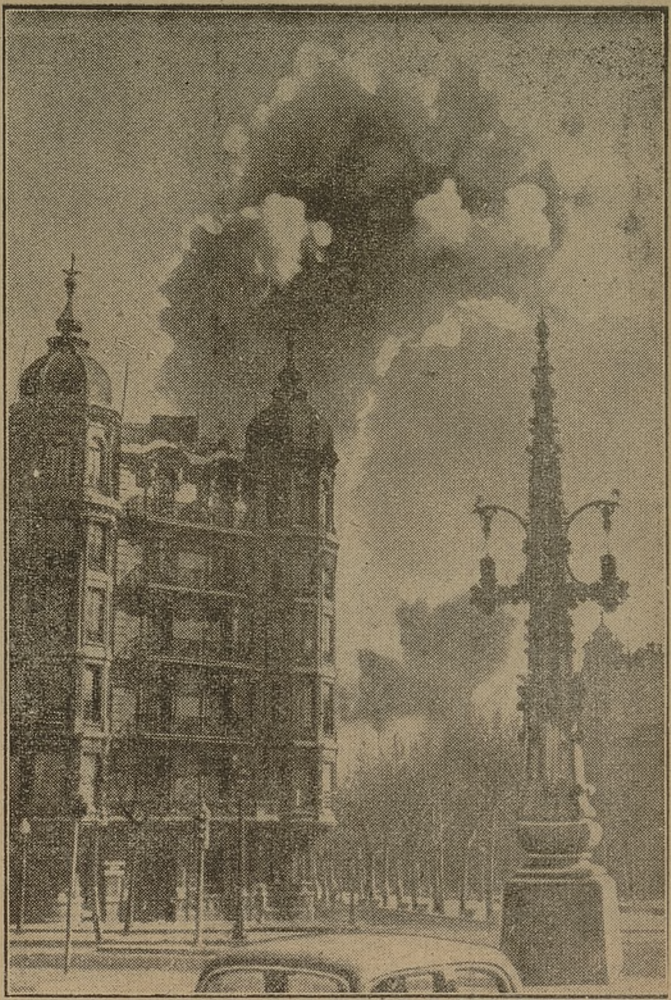
Był dla niej tak uważający i tak ciągle nad tym myślał, jakby jej tu pobyt uprzyjemnić i wygodnym uczynić, że Zuzia ginęła z zazdrości i bólu.

Po co ja żyję, czy po to, abym się temu wszystkiemu musiała przypatrywać? — myślała. — Sądziłam, że to już szczyt nieszczęścia, gdym uczuła, że mnie Józef już tak nie kocha jak dawniej. Teraz zaś widzę, że byłam wtedy jeszcze szczęśliwą w porównaniu do obecnej chwili, bo wtedy mąż mój przynajmniej żadnej innej jeszcze nie kochał. O, co to za męka przypatrywać się, jak on miłosne spojrzenia tej obcej rzuca. Po co ja żyję i męczę się! O, gdyby tak umrzeć można!

Rozpacz jej bardzo się wzmogła, gdy Józef na noc odstąpił łóżko swe Grecie, a poszedł spać do stajni. Wstrzymała się jednak od wybuchu, bo się go bała.

Przez całą noc śnił Józef o Grecie i ciągle ją miał przed oczyma, zachwycając się każdym jej rysem.

Nie miał nawet sam o tym pojęcia, jak ją całą duszą pokochał!



Barcelona znalazła się ostatnio w bazie operacyjnej wojny hiszpańskiej. Na zdjęciu Barcelona w czasie nalotu samolotów

ROZDZIAŁ CCLXXXVI.

Podczas gdy Ida rozpływała się w swym szczęściu i miłości, Sylwia była na pełnym morzu.

Trzymała się z daleka od wszystkich pasażerów parowca. Nie czyniła tego jednak z dumy, jak ją o to reszta pań posądzała, lecz dlatego, że myślała ciągle o swoim narzeczonym, hrabiu Wildensteinie.

Kilku panów zbliżyło się do pięknej leśniczanki, ale Sylwia tak energicznie wobec nich postąpiła, że żaden z nich więcej do niej zbliżyć się nie ośmielił.

Tylko pani Schnorr przyczepiła się jak bodiak do młodej dziewczyny i nie odstępowała od niej ani na krok. Popełniała jednak dużo nieostrożności, które Sylwię bardzo do niej uprzedzały. Nie zważała ona na sposób swego wyrażania się i wygłaszała tak okropne zasady, że Sylwia uważała za stosowne od niej się odsunąć.

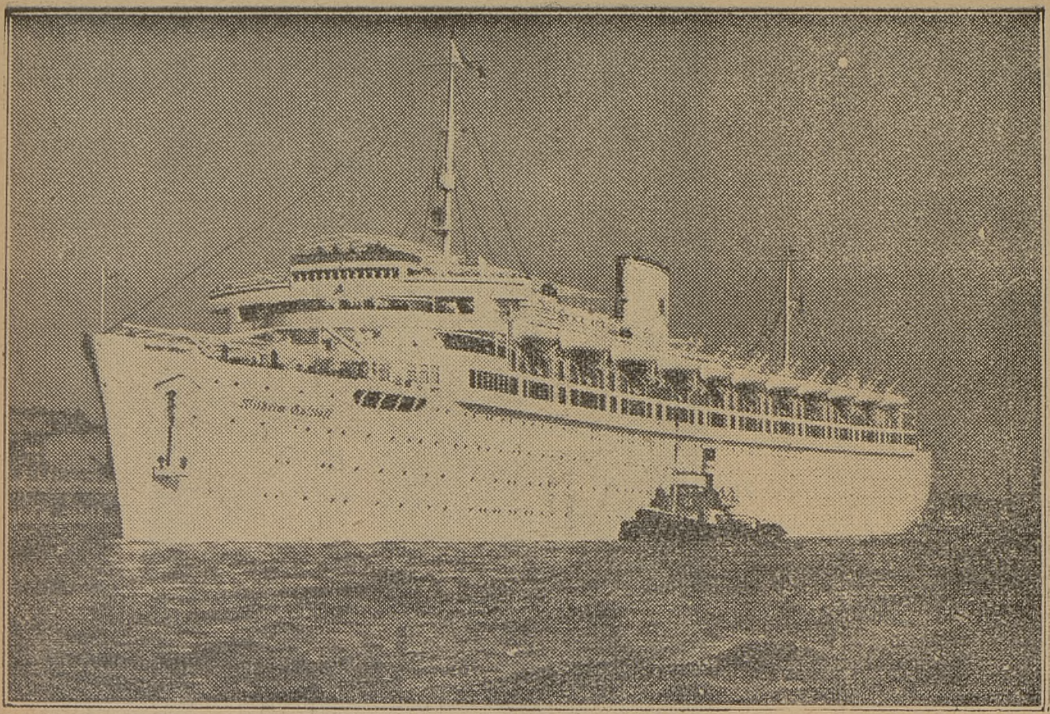
Pani Schnorr była często sprzeczną w swoich opowiadaniach i w swoim zachowaniu się. Opowiadała np., że niedawno pochowała swego męża i udawała wielką rozpacz, a w następnej chwili śmiała się już wesoło z najmniejszego głupstwa.

Nie przestawała też opowiadać o swoim synu, który również tylko w jej imaginacji egzystował, ale zapominając się często, nazywała go po kolei Pawłem, Maksem albo Walterem.

— Niechże pani nie nazywa swego syna codziennie inaczej — wyrwało się raz Sylwii, nie mogąc się już dłużej wstrzymać — to tak dziwnie brzmi!

— Co za głupia nieostrożność z mej strony! — pomyślała pani Schnorr w duchu, ale namyśliwszy się przez chwilę, rzekła z fałszywym uśmiechem:

— Bo widzi pani, kochana pani Sylwio, rzecz tak się miała. Długi czas po weselu nie mieliśmy dzieci; to też gdy syn mój na



Nowy niemiecki statek wycieczkowy „Wilhelm Gustloff“ dla organizacji „Kraft durch Freude“ („Do potęgi przez radość“)

świat przyszedł, radość nasza i naszej rodziny taka była ogromna, że miał on kilkunastu ojców chrzestnych. Każdy zaś z nich dał mu inne imię.

— Ależ jedną osobę zwykle jednym imieniem się nazywa — odparła Sylwia.

— Nie chcieliśmy żadnego z ojców chrzestnych obrażać — wykręcała się mama Schnorr.

Sylwia umilkła, ale zaczęła się od niej odsuwać. Bezczelna i natarczywa baba udawała zaś, że tego nie spostrzega i dalej jej się narzucała.

Parowiec znajdował się dopiero cztery dni na morzu, gdy kucharz zrobił odkrycie, które jak grom na wszystkich spadło.

Otworzywszy bowiem baryłkę z konserwami mięsnymi, poczuł, że okropnie cuchnie. Mięso było na wskroś zepsute i roiło się wprost od robaków.

— Na Boga — krzyknął przestraszony zawiadowca, patrząc na kucharza — jest to pierwsza baryłka z transportu z Lubeki. Co poczniemy, jeżeli wszystkie są tak zepsute!

Otworzyli drugą beczkę na próbę, była również niemożliwa.

Zawołali kapitana, który nie chcąc wierzyć, aby tak gorąco polecona mu firma tak strasznie go mogła oszukać, otworzył dla próby trzecią baryłkę.

Ale i ta cuchnęła okropnie i również była pełna robaków. Pokazało się, że cały ich zapas, 21 beczułek, był nie do użycia!

Na rozkaz kapitana powrzucano je wszystkie do wody, aby nie zanieczyszczały powietrza.

— Teraz domyślam się, dlaczego mi ten oszust mięso dopiero w ostatniej chwili posłał — zawołał kapitan — bał się, że gotowiśmy przedtem skosztować i odesłać mu. Wielki Boże, cóż my teraz poczniemy? Czym wyżywimy tę masę ludzi, którą mamy na okręcie? Są teraz wszyscy skazani na głód, dlatego tylko, że owi oszuści obłowić się chcieli. Jak mogą ludzie być tak niesumienni.

— Cały nasz zapas żywego drobiu i jagniąt wystarczy zaledwie na jeden dzień, dla wszystkich pasażerów i całej załogi — dorzucił zawiadowca.

— Może spotkamy jakiś okręt, którego kapitan odstąpi nam trochę prowiantu — pocieszał kucharz.

Kapitan uśmiechnął się smutno.

— To się tak pięknie mówi, kucharzu — odparł on — ale któryż kapitan wozi ze sobą taki nadmiar prowiantu, aby co mu zbywa, mógł odstąpić pożywienie dla 300 osób, na sześć dni? A przecież nie można od żadnego kapitana żądać, aby pomagał obcym ze szkodą dla swej załogi!

Kucharz uznał słuszność słów kapitana i umilkł zakłopotany.

— Ile sloniny mamy? — zapytał znów kapitan.

— Mniej niż zwykle — odpowiedział zarządca — gdyż wzięliśmy tym razem więcej masła ze sobą. Mamy sloninę od tej samej firmy, która nam mięso dostarczyła, będzie więc pewnie także zepsuta.

— Ledwo jej można używać, tak nieprzyjemny ma smak — dodał kucharz.

Kapitan westchnął zrozpaczony.

— Bóg nas naprawdę opuścił — mruknął — wolałbym najstraszniejszą burzę, niż ten wypadek. Strach mnie ogarnia na samą myśl o scenie, jaka powstanie na wieść o tym.

— Za sześć dni możemy być w Nowym Jorku — pocieszał zarządca — mamy pod dostatkiem mąki, krup i jarzyn strączkowych. Nie ma więc obawy głodu. Mamy zresztą jeszcze trochę żywych jagniąt!

— Dziś nie będzie mięsa — zadysponował kapitan — pasażerowie dostaną zupę grochową i leguminę, a załoga groch ze sloniną. Każdy majtek dostanie grog na obiad i na kolację, jako odszkodowanie za mięso.

— Czy mam załodze całą prawdę powiedzieć? — spytał zarządca.

— Nie, ja to sam załatwię — oświadczył kapitan.

Wkrótce potem odezwał się sygnał, zwołujący całą załogę na pokład. W największym pospiechu zebrali się tam wszyscy majtkowie.

Kapitan przyjął ich z bardzo poważnym wyrazem twarzy.

— Moi chłopcy — przemówił do nich — na porządnym okręcie kapitan i załoga powinni być w dobrym porozumieniu, a każdy porządny marynarz, powinien być wierny swemu kapitanowi. Czy który z was ma coś przeciwko mnie i może się na mnie uskarżać?

Głośne trzykrotne okrzyki „hura“ zapewniły kapitana o życzliwości załogi.

— Dziękuję wam, chłopcy! — ciągnął kapitan dalej. — Niestety, muszę wam dziś bardzo złą nowinę zakomunikować! Mój dostawca z Lubeki haniebnie mnie oszukał. Wszystko mięso jest zepsute i nie do jedzenia.

Tu urwał kapitan i spojrzał badawczo na zgromadzonych. Musieli jednak już przedtem o tym wiedzieć ,bo nie okazali najmniejszego zdziwienia.

— Wiecie wszyscy o tym — mówił kapitan dalej — jak bardzo na morzu mięso jest do zdrowia potrzebne. Załoga musi się więc dobrze odżywiać ,a powietrze morskie zaostrza apetyt. Wobec tego zaś wypadku, nie mogę wam zapewnić dobrego wiktu; mogę wam tylko przyrzec, że zrobię wszystko co będzie w mojej mocy, aby was za brak mięsa odszkodować. Będziecie dostawali grog na obiad i na kolację. Aby was zaś przekonać, że ja nie lepiej żyć będę od was, będę od dzisiejszego dnia jadł z wami razem, że się tak wyrażę, z jednej misy. Spodziewam się, że będziecie się zachowywali jak mądrzy ludzie i że oszczędzicie mi przykrości, które mnie ze strony pasażerów pewnie nie miną.

— Hura! — zawołał najstarszy z załogi — chłopcy, trzykrotne hura dla naszego kapitana! — Załoga zawtórowała z całej siły swoich płuc, poczem najstarszy z nich wystąpił naprzód i rzekł z niezgrabnym ukłonem:

— Panie kapitanie! Gdybyśmy nie tylko z mięsa zrezygnować musieli, ale jeżeli by nawet chleba i wody nie było, to przecież byśmy jeszcze przeciwko panu nie powstawali. Łotrem jest ten, który opuszcza swego kapitana! Chcemy żyć i umierać z panem! Jeszcze jedno hura dla naszego kapitana!

I znowu zabrzmiało ogólne hura z wszystkich ust.

Wzruszony, prawie ze łzami w oczach, spojrzał kapitan na swoich majtków.

— Dzieci moje, dziękuję wam z całego serca — rzekł drżącym głosem.

Wierność załogi była dla niego wielką pociechą w nieszczęściu.

Gdy się majtkowie rozeszli do swej pracy, zwołał pasażerów i obwieścił im, jak haniebnie został oszukany przez swoich dostawców.

Wiadomość tę różni różnie przyjęli.

Sylwia przyjęła tę wiadomość zupełnie obojętnie, bo myśli jej tak niepodzielnie były przy narzeczonym i rodzicach, że nie zwracała nawet uwagi na to, co je.

Inaczej rzecz się miała z panią Schnorr. Ledwo tylko kapitan skończył, przepchała się przez tłum i stanąwszy przed nim w wyzywającej postaci, odezwała się krzykliwym głosem:

— Co sobie pan właściwie myśli? Czy mamy tu zginąć z głodu za nasze pieniądze? Czy natośmy tyle zapłacili, aby mieć wikt więzienny? Nie, mój panie! Mnie to nic nie obchodzi i ja żądam takiego wiktu, jak mi się za moje pieniądze należy!

— Nic pani na to nie poradzę — odparł kapitan wzruszając ramionami.

— Tak pan myśli? — szydziła pani Schnorr. — Ale bardzo się pan myli. Znam ja się na takich sztuczkach! Kupił pan te zapasy za bezcen, nie troszcząc się o to, czy dobre, czy zepsute, aby tylko napełnić swoje kieszenie, a my mamy za to cierpieć? Zobaczymy, kto z nas ma rację.

Skończywszy, popatrzyła wokoło, czy się kto do niej przyłączy.

Jakiś otyły starszy człowiek, pokiwał głową na znak aprobaty, a jeden z obecnych zawołał:

— Ta pani ma rację; zapłaciliśmy za to, aby mieć codziennie mięso, więc żądamy go.

Ale żona jego trąciła go łokciem i rzekła:

— Bądźże rozsądnym, Stefanie! Widziałeś przecież na własne oczy, że mięso było zepsute. Skądże kapitan teraz ma wziąć inne? Jesteśmy zresztą teraz już w połowie drogi do Ameryki.

— Stul gębę głupia Tryno! — zawołał uprzejmy małżonek. — Obowiązkiem kapitana było zobaczyć, jaki towar kupuje, a nie kupować kota w worku. Ta pani ma rację — dodał wskazując na Schnorrową — jest to dobrze obmyślany podstęp. Kapitan wiedział, że towar był zepsuty — i...

— Niech pan w tej chwili odwoła, co pan powiedział! — krzyknął kapitan oburzony i do żywego dotknięty. — Proszę odwołać, bo inaczej pan tego pożałuje!

— Prawda w oczy kole — zauważyła pani Schnorr szyderczo. — Niech się pan nie daje zastraszać!

Ale chłop cofnął się trwożliwie, bo groźny wzrok kapitana nie wróżył nic dobrego.

— Czy odwoła pan natychmiast, to co pan powiedział? — zapytał kapitan.

— Odwołuję! — wyjąkał chłop przestraszony i onieśmielony.

— Głupiec! — syknęła pani Schnorr pogardliwie.

— Aby przekonać wszystkich o swej niewinności, pokażę kwitowany rachunek za mięso, niech idzie od ręki do ręki — rzekł kapitan — niech każdy zobaczy na własne oczy, czy nie jest to zwykła cena za konserwy mięsne!

— Papier jest cierpliwy! — wycedziła znów pani Schnorr — to nie jest jeszcze dowodem.

Na szczęście, przekrzyczano ją ze wszystkich stron.

Baron Geldern zawołał: Niech się pan nie trudzi, panie kapitanie, wierzymy panu na słowo i nie potrzebujemy żadnych innych dowodów!

Dobrotliwy, lekkomyślny Rosen oświadczył:

— Nie będzie to nieszczęściem, jak tych kilka dni bez mięsa przebiedujemy!

Mniejsza część mężczyzn potakiwała mu głośno.

Garstka starszych panów, wydających widocznie wiele na dobre biesiady, stanęła w kącie ze smutną miną; lecz żaden z nich nie odważył się na głośną uwagę.

Tylko pani Schnorr rozprawiała jeszcze donośnym głosem o krzywdzie, która się pasażerom stała i namawiała resztę pań, aby kapitana porządnie zbeształy.

Niektóre z tych pań były tego samego zdania co ona, nie miały tylko odwagi odezwania się. Jedna z nich mruknęła szorstko:

— Co nam pomoże gadanie? Narazimy się tylko na nieprzyjemności!



Ostatnio w Wiedniu dzieci pod opieką policji urządziły zbiórkę pieniężną na najbiedniejszych mieszkańców miasta.

Sylwia starała się przekonać je, że kapitan sam stał się ofiarą oszukaństwa, ale one odpowiedziały tylko niedowierzającym uśmiechem i wzruszeniem ramion. Jedyny rezultat jej usiłowań był ten, że zaczęły sobie szeptać do ucha złośliwe uwagi.

Jakaś wysuszona Niemka rzekła półgłosem do swej sąsiadki:

— Panna Herbert ma pewnie ważne powody, dla których jest po stronie kapitana!

— Pewnie, że wie ona, dlaczego to robi! — odparła druga z szyderczym uśmiechem.

— Ciekawam, co dostaniemy na obiad! — rzekła pani Schnorr. — Oświadczam z góry, że grochu bez mięsa nie jadam. Pójdę zaraz do kuchni zobaczyć, co tam gotują, a jak zobaczę, że pasażerowie pierwszej klasy dostają mięso, a my nie, to narobię takiego skandalu, że mnie kapitan popamięta!

Mówiąc to, pani Schnorr rzeczywiście zeszła na dół do kuchni.

W kuchni stał duży kocioł z grochem. Jeden z pomocników kucharskich wyrabiał ciasto na pudding, drugi bił pianę z białek, a kucharz sam wysmarował blaszane formy na pudding starannie masłem.

— A mięsa nie będzie? — zapytała Schnorrowa szorstko — ja nie chcę obiadu bez mięsa.

— Moja pani — uspokajał ją kucharz — jeżeli pani tak koniecznie na tym zależy, to dam pani kawałek pieczeni. Niech pani przyjdzie w godzinę po stole do kuchni, to będzie już gotowe. Ale proszę nic nie mówić innym pasażerom, bo narobi to dużo złej krwi, że robimy dla pani wyjątek.

— Dobrze — odparła pani Schnorr — jak dostanę dobrze upieczone i napełnione kurczątko, to będę milczała.

— Kury nie mam ,ale dam ładny kawał pieczeni — przyrzekł kucharz — niech pani w czas przyjdzie.

Pani Schnorr uśmiechnęła się na myśl, że będzie miała coś więcej od innych pasażerów i cieszyła się ze swojej mądrości.

— No, co tam słychać? — zapytały ją inne pasażerki, gdy wróciła na pokład.

— Nie ma mięsa — odpowiedziała pani Schnorr — a że ja nie jadam legumin, więc będę dziś pościła.

Przy tych słowach uśmiechnęła się nieznacznie na myśl o pieczeni, którą w tajemnicy przed innymi dostanie.

— Kucharzu — zapytał jeden z pomocników — jaką pieczeń damy tej starej czarownicy?

— Zarżniemy tego starego kota i upieczemy go dla niej — odparł kucharz spokojnie.

Obaj pomocnicy ryknęli śmiechem.

— Wyborny żart! — rzekli obydwaj równocześnie — i wtajemniczyli w to kilku majtków, którzy się do łez uśmiali.

Za kilka chwil niewinny kot był złapany i zarżnięty. Kucharz ściągnął mu skórę i wrzucił go całego do misy, z octem.

Po dobrej godzinie wyjął go z octu, naszpikował słoniną i sparzył dwa razy kipiącą wodą.

Potem przyrumienił masło w brytfannie, wrzucił do niej kota, przykrył go płatkami cebuli, nasolił i upiekł go na brązowo.

— Wygląda całkiem apetycznie — zaśmiał się kucharz.

Czas obiadu przeszedł dziś bardzo cicho.

Kapitan jadł razem z załogą groch ze starą, zepsutą słoniną. Majtkowie nie skarżyli się i twierdzili, że są suto odszkodowani grokiem.

Pasażerowie skarżyli się wzajemnie, tylko pani Schnorrowa milczała i uśmiechała się.

Punktualnie w godzinę po obiedzie stawiła się w kuchni, gdzie uczuła przyjemny zapach pieczonego mięsa.



W Anglii dwa małżeństwa udały się na chrzest swych dzieci na słoniach, które pchały z całą powagą wózki z dziećmi przed sobą.

Kucharz wyjął z pieca przykryty półmisek i postawił go na stole przed panią Schnorr.

Obaj pomocnicy kuchenni uśmiechnęli się, gdy kucharz zdjął przykrywę z półmiska.

— Już rozkrajane — rzekła pani Schnorr z lekką naganą.

— Nie chciałem, aby się pani sama trudziła — odparł kucharz spokojnie — czy dać pani kwaśnych ogórków do tego?

— Owszem, odpowiedziała pani Schnorr i wziąwszy duży kawał pieczeni na talerz zaczęła jeść.

— Czy to dziczyzna? — zapytała z pełnymi ustami.

— Nie, to baranina — odparł kucharz.

— Prawda — zawołała Schnorrowa i jadła dalej z wielkim apetytem.

Chłopcy w kuchni spojrzeli po sobie i zaczęli po kątach chichotać.

— Czy smakuje pani? — spytał kucharz z udaną uprzejmością.

— Prosiłabym o musztardę — rzekła pani Schnorr, bo mięso jest bardzo tłuste.

Kucharz podał jej żądaną musztardę, a pani Schnorr jadła szybko dalej.

— To mięso ma jakiś dziwny smak — rzekła wreszcie do kucharza — niech pan skosztuje.

— Dziękuję — wymówił kucharz — ale ja jako dobry katolik poszczę dziś. Czy mam resztę dla pani na wieczór schować? — spytał.

— Jeżeli pan chce być taki dobry — odparła pani Schnorr — może na zimno będzie lepsze.

Gdy odeszła, rzekł jeden z pomocników:

— Kucharzu, ja myślałem, że wy przy końcu powiecie starej, co ona jadła.

— Jeszcze czas na to będzie — odrzekł kucharz zamyślony — ja...

Nie mógł dokończyć, bo cały okręt zaczął się przechylać.

— Święty Boże! — zawołał kucharz przestraszony. Czyżby okręt natknął się na jakąś skałę? Boże, zlituj się nad nami!

Jego obawy aż nadto były uzasadnione. Parowiec rzeczywiście uderzył o skałę i został uszkodzony.

Ozwał się głośny sygnał: wszyscy mężczyźni do pomp!

Załoga zaczęła pracować w pocie czoła, aby wypompować wodę z kabin parowca.

Pasażerowie pomagali załodze. Nawet baron Geldern i przyjaciel jego Rosen tak pracowali, że im pot z czoła ściekał, a na rękach potworzyły się pęcherze.

Od czasu do czasu, mierzył kapitan stan wody w przedziale towarowym.

Czoło jego coraz bardziej pochmurniało. Widocznie małe były szanse ratunku.

Daremnie zatykali majtkowie dziurę belkami i deskami, aby zatamować wciskającą się wodę, gdyż woda podnosiła deski i wdzierała się sycząc z podwójną siłą.

— Boże, zlituj się nad nami! — jęczała pani Schnorr. — Ładny okręt pani wyszukała, panno Herbert! Dlaczego cieśla nie naprawia szkody? Słyszałam, że w przedziale towarowym woda do połowy stoi. Teraz mąka i kawa się zepsuje. Cóż później będziemy jedli?

Troszcząc się o jedzenie, nie zdawała sobie sprawy, że tu chodzi o życie i śmierć. Sylwia jednak wiedziała o grożącym niebezpieczeństwie.

Serce jej się ścisnęło z żalu i nieopisana trwoga przed śmiercią ją opanowała.

Nie chodziło jej o własną osobę i o własne życie. Myślała tylko o narzeczonym i o ojcu, których postanowiła uratować, a którzy bez jej pomocy nędznie zginąć by musieli. Z miłości dla nich, musiała o własnym bezpieczeństwie pomyśleć.

Wyszła po cichu na pokład.

— Panno Herbert — rzekł baron Geldern — niech pani posłucha mej rady i tu zostanie, nie wraca już do kajuty. Tu jest pani bezpieczniejsza, niż na dole.

Sylwia przeleciała obok niego, nie słuchając nawet tego, co mówił i udała się wprost do kapitana.

Tam mozoliło się dwunastu najsilniejszych majtków, aby mocnymi sznurami powiązać belki i założyć nimi otwór, przez który woda do wnętrza się dostawała.

Daremne zabiegi! Woda silniejszą była od rąk ludzkich. Podnosiła z łatwością ciężkie belki i wciskała się do wnętrza z nieprzyjemnym świstem.

— Panie kapitanie! — zawołała Sylwia, proszę o chwilę posłuchania.

Ton jej był tak błagalny, że kapitan nie mógł prośbie jej odmówić.

Zwrócił się do niej, aby ją wysłuchać i w miarę jak mówiła, twarz jego się rozjaśniała.

— Na Boga — zawołał on, bijąc się w czoło — że ja też sam na ten pomysł nie wpadłem.

— Rzućcie dziesięć worków grochu na belki! — rozkazał kapitan.

Majtkowie poszli za jego rozkazem, a widząc, że i to za lekkie dorzucili jeszcze dziesięć.

Ciężar tych 20-tu worków grochu był tak wielki, że przytrzymał silne belki i stawił wodzie skuteczny opór.

— Jesteśmy uratowani! — zawołał kapitan uradowany — uratowani, dzięki pani, panno Sylwio!

Ucałował gorąco jej rękę i serdecznie podziękował, ona zaś odrzekła skromnie:

— Nie warto nawet o tym wspominać. Byłby pan z pewnością sam na to wpadł.

— Wątpię — odpowiedział kapitan — bo w chwili potrzeby, rzadko coś mądrego na myśl przychodzi! Pani jest zbawczynią okrętu i załogi. Bez pani bylibyśmy straceni!

Daremnie starała się Sylwia wyperswadować kapitanowi, że nie zasługuje wcale na tak wielką wdzięczność, ale kapitan odparł solennie:

— Cześć temu, komu się należy! Skoro tylko będziemy na dobre ocaleni, obwieszczę to całej załodze, aby wiedzieli, komu życie zawdzięczają!

Woda spod belek nie wciskała się więcej do wnętrza, a po kilkugodzinnej pracy, wypompowali majtkowie wodę znajdującą się w przedziale towarowym. Potem naprawił cieśla szkodę.

Gdy ukończyli, kapitan zwołał pasażerów i załogę na pokład i oświadczył im donośnym głosem, że byli w wielkim niebezpieczeństwie i że ocalenie swe zawdzięczyć mogą tylko przytomności umysłu panny Sylwii Herbert.

Mimo szczęśliwego obrotu rzeczy, znajdował się kapitan w okropnym położeniu, gdyż woda, stojąca kilka godzin w magazynie zepsuła mąkę, cukier, herbatę i kawę.

Czemże ja teraz nakarmię 300 osób — myślał w rozpaczy — gdy groch i fasola zacznie się psuć z wilgoci, to wtedy przyjdzie nam zginąć z głodu.

Na myśl o tym zakrył twarz rękoma i płakał jak dziecko.

Wtem zapukano do jego kajuty. Wszedł zakłopotany sternik.

— Panie kapitanie — rzekł stroskany — maszyna stanęła, okręt nie rusza się z miejsca, a ja nie umiem temu zaradzić! Boże wielki! — krzyknął kapitan — jesteśmy straceni!

ROZDZIAŁ CCLXXXVII.

Nieudana intryga

W skromnym swym bycie nie odczuwała Hortensja braku owych zbytków, którymi ją miłość ojcowska otaczała.

W dawnym, obszernym mieszkaniu odczuwała bardziej jeszcze swoją samotność. niż w tych dwóch małych, przyjemnych pokoikach, które teraz zamieszkiwała, a mając więcej wolnego czasu, przemyśliwała wówczas częściej nad swym smutnym losem, niż obecnie, gdzie jej czas schodził na lekcjach, sprzątaniu i gotowaniu.

Rano sprzątała z pomocą Luigiego, potem przyrządzała w kuchni swej gospodyni, skromny obiad dla siebie i dla wiernego służącego. Chciała, aby z nią razem jadał, ale Luigi nie dał się do tego nakłonić.

Podawał on wpierw swojej pani do stołu, a później spożywał resztę w swojej izdebce. Uważał on się jeszcze zawsze za służącego Hortensji i oddawał jej należne uszanowanie.

Najprzyjemniejszym jej zajęciem były lekcje. Prócz Waleski Noth, miała jeszcze dwie inne: najstarszą córkę swej gospodyni i jedną dziewczynkę, którą jej gospodyni poleciła.

Zadawała sobie możliwie najwięcej pracy i z nieopisaną radością przyjęła swoje pierwsze honorarium.

Mimowoli pomyślała o Leonie i rozpłakała się na myśl o nim, bo czuła, że bez niego, nie ma dla niej szczęścia na świecie!

Na następnej lekcji u panny Noth, spostrzegła Hortensja z ulgą, że referendarza tam nie było. Zastała jednak Anne, kuzynkę Waleski, która obecną była przy lekcji i przysłuchiwała się jej w sposób dość nieprzyjemny dla Hortensji.

Złośliwa, stara panna, siadła obok fortepianu w wygodnym fotelu i musztrując grających przez swoje szkła, wtrącała ciągle swoje dobre rady i nauki.

— Ten ustęp trzeba grać prędzej — krytykowała — tańców Brahmsa nie gra się tak jak marsz pogrzebowy. Ten zaś ustęp znów za prędko gracie, a w końcu uważam, że Waleska gra fałszywie. To prawdziwa uczta dla ucha!

— Jeżeli cię to tak razi Anno — odparła Waleska gniewnie — to idź na ten czas do ciotki!

— Nie mam chęci marnować sobie płuc — ofuknęła ją Anna.

— To przeglądaj żurnale — proponowała Waleska, leżą w przedpokoju.

— Nie, nie — odparła Anna chłodno — ja chcę tu zostać i słuchać. Zagrajcie jeszcze raz ten taniec, bo wam bardzo źle poszło!

Hortensja zbladła, słysząc tak niesprawiedliwą naganę, tak, że Walesce aż żal się jej zrobiło.

— To prawda — rzekła dobrodusznie — okropnie źle gram i psuję tylko piękną poprawną grę pani Waldau, gdy razem z nią gram. Niech się pani na mnie za to nie gniewa! — zwróciła się ona do Hortensji, głaszcząc jej piękną, blond główkę.

Anna nie dodała ani słowa, dając do poznania, że gra Hortensji tak samo się jej podoba, jak brzdąkanie Waleski.

Hortensji było to podwójnie przykro, bo wiedziała, że ją Anna krzywdzi niesłuszną krytyką i psuje przyjemność, jaką jej lekcja z Waleską sprawiała.

Po godzinie odeszła też zaraz, nie przyjąwszy zaproszenia panny Noth, aby dłużej została.

Przechodząc koło ogrodu, usłyszała Hortensja przenikliwy głos Anny:



Piękny, wiosenny zagon krokusów zawsze jest pożądanym obiektem dla amatorów fotografii.

— Ja ci mówię, że ta osoba jest z gruntu fałszywa!

— To niemożliwe — przerwała jej Waleska oburzona. — Ona jest taką cudną i słodką istotą. A przytem tak mi jej żal, bo w 17-tym roku życia już była wdową i jeszcze do tego majątek straciła! Nie wiem czego chcesz od tej biednej osoby!

— A ja przecież utrzymuję... — zaczęła Anna.

Ale Hortensja szła dalej i nic więcej nie słyszała. Było jej bardzo przykro i smutno na sercu.

Nie miała wątpliwości, że to o niej była mowa i poznała, że ma w Annie zaciętą przeciwniczkę. Łamała sobie głowę, czym ją mogła zrazić, a była zanadto naiwną, aby przeczuć, że to tylko zawiść i zazdrość starzejącej się panny na młodszą i ładniejszą rywalkę.

Zasmucona i zaniepokojona, wracała Hortensja do domu, obawiając się, że przeciwniczka jej tak długo będzie przeciwko niej agitowała, dopóki nie odwróci serca jedynych jej przyjaciół.

Po obiedzie, tego samego dnia, poszła na groby swoich ukochanych, tym razem sama, bez Luigiego, który był niezdrów.

Wracając późno do domu, zobaczyła nagle obok siebie kłaniającego się jej pana i poznała niesympatyczną twarz referendarza Hellmuta.

— Co za wielka przyjemność spotkania pani? — przywitał on ją pod nosem.

— Spóźniłam się — odparła Hortensja — i muszę śpieszyć do domu.

— Słusznie — uśmiechnął się referendarz — jest już późno dla pani i dlatego pozwolę sobie odprowadzić panią!

— Proszę usilnie, niech mi pan pozwoli samej pójść do domu! — prosiła Hortensja.

— Nie — rzekł Hellmut — nie posądzi mnie pani przecież o taką niegalanterię!

Hortensja szła prędko, nie słuchając nawet tego, co jej towarzysz mówił i oglądając się za omnibusem, do którego by wsiąść mogła.

Wreszcie nadjechał jeden, którym by mogła była jechać, gdyby nie to, że zobaczyła siedzącą w nim pannę Annę.

Ta ostatnia również ją spostrzegła i rzuciła szydercze spojrzenie na nią i jej towarzysza.

— To była kuzynka panny Noth — zwróciła się Hortensja z wyrzutem do Hellmuta.

— Do diabła! — wyrwał się referendarz widocznie przestraszony.

Oglądnął się raz jeszcze, ale omnibusu już nie było. Zaśmiał się niedowierzająco.

— Mała czarownica z pani — rzekł z arogancką poufałością — chciała mnie pani tylko przestraszyć! Lecz ja nie jestem taki głupi. Chodź pani dalej ze mną, nic pani nie pomoże!

To mówiąc, chciał ją wziąć pod rękę, lecz wyrwała mu się i przystąpiwszy do pierwszej porządnie ubranej damy, którą spotkała, rzekła:

— Proszę pozwolić, abym z panią poszła do rogu, gdzie stoją dorożki, bo ten pan prześladuje mnie i narzuca mi się.

— Proszę bardzo — odparła zagadnięta dama uprzejmie, a zwróciwszy się do Hellmuta dodała — a panu, mój panie, radzę jak najprędzej się ulotnić, bo inaczej, będziemy się musieli zwrócić do policjanta.

Hellmut mruknął coś szyderczo pod nosem, lecz po chwili odszedł.

Hortensja odetchnęła lżej i podziękowała nieznajomej serdecznie za pomoc.

— Nie ma za co — odparła nieznajoma — bo mnie to tylko kilka słów kosztowało. Radzę pani jednak na przyszłość samej nie wychodzić nigdy o tak późnej porze w tak odludną okolicę. Pani jest zbyt młoda i ładna. Już jest po ósmej.

Hortensja wytłumaczyła jej swe spóźnienie i wziąwszy pierwszą dorożkę, która jej się nawinęła, pożegnała się z uprzejmą damą i odjechała.

Nazajutrz rano, otrzymała Hortensja bilet od niejakiej panny Luizy Schneider,

która ją o 7-mej wieczorem do siebie prosiła, aby się umówić o lekcję muzyki.

Ucieszyła się bardzo, bo myślała, że to z polecenia adwokata Notha.

O oznaczonej porze wybrała się w drogę, mimo, że podany adres nie był pod względem położenia zachęcający. Nie dała się jednak odstraszyć i stanęła o oznaczonej godzinie przed domem, na na którego trzecim piętrze zobaczyła na drzwiach szyld: „L. Schneider". Zadzwoniła i poczekała chwilę.

Otworzyła jej starsza, brzydka kobieta i wprowadziła ją do suto, ale niegustownie urządzonego salonu, prosząc, aby usiadła i poczekała.

Hortensja stanęła i czekała cierpliwie. Spojrzała na swój zegarek. Siódma już minęła — pomyślała — ta pani pewnie niezadługo wejdzie.

Aby sobie skrócić czas, zaczęła oglądać obrazy i dekoracje ścian. Meble w tym pokoju pokryte były pospolitym jasnoczerwonym pluszem. Nie było ani kwiatów, ani książek w tym pokoju. Hortensja pomyślała, że nie mogłaby się tu czuć swobodną.

Wreszcie usłyszała, że w przedpokoju ktoś silnie za dzwonek pociągnął.

— To pewno panna Schneider — mruknęła Hortensja zadowolona.

Potem usłyszała w przedpokoju szepty i mogła wyraźnie rozróżnić jeden głos męski, który jej się bardzo znajomym wydawał. Czy mógłby to być Hellmut? — pomyślała ze strachem.

Po chwili otworzyły się raptownie drzwi i ku wielkiemu jej przerażeniu wszedł Hellmut do salonu, zamknął prędko drzwi na klucz i schował go do kieszeni, zbliżył się do niej i rzekł z wstrętnym uśmiechem:

— Mam cię nareszcie, mój koteczku!

Hortensja czuła się przychwyconą i padła bezsilna na krzesło.

— Niech się pani uspokoi — rzekł jej referendarz — i proszę mnie się nie bać. Nie jestem taki lekkomyślny, aby dla pięknych oczu narażać swoją kuzynkę. Zwabiłem panią tutaj tylko na to, aby z panią móc spokojnie pomówić, bo na ulicy bierze pani zaraz dorożkę, albo chroni się pod opiekuńcze skrzydła pierwszej lepszej przekupki, którą pani spotyka.

Brzmiało to trochę uspokajająco, tym bardziej, że Hellmut stanął w pewnym oddaleniu od niej.

Hortensja otarła więc łzy i rzekła słabym głosem:

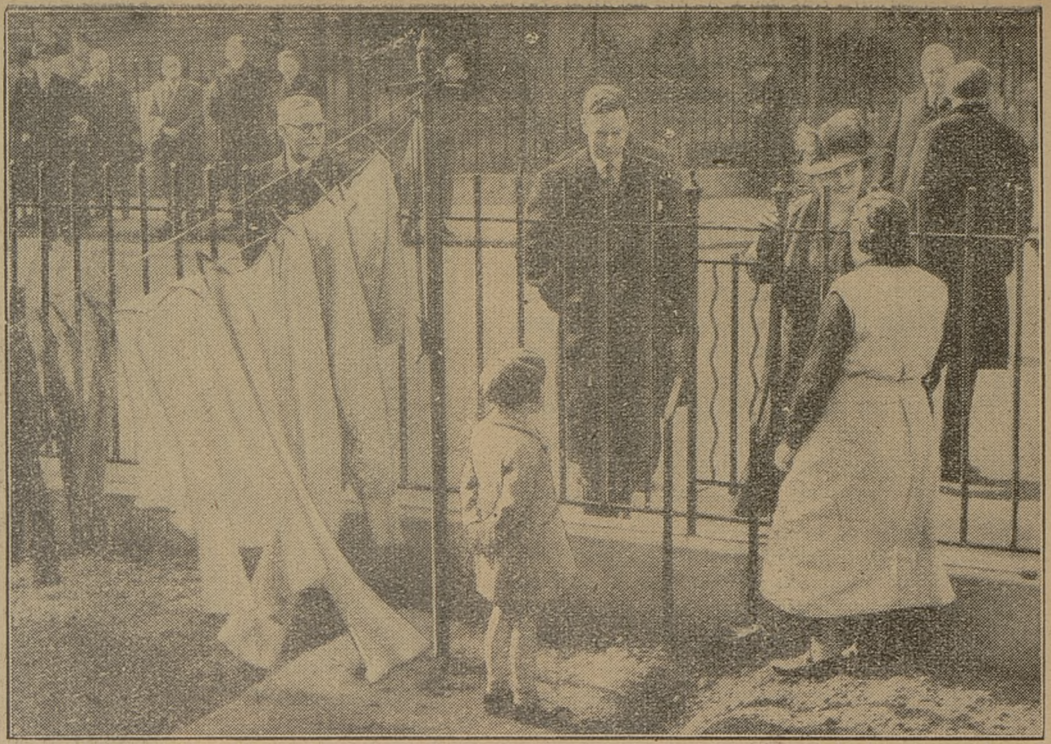
— Czego pan właściwie chce ode mnie?

— Widzi pani — zaczął referendarz — jest pani piękną i ja zapatrzyłem się w panią od pierwszego spojrzenia. Jest pani przytem biedną. Po co ma się pani męczyć lekcjami, kiedy ja jestem bogaty i na jedno słowo pani, mogę pani dać wszystko, co pani tylko potrzeba. Wynajmę pani cudne mieszkanie, pokojówkę, dostarczę pięknych toalet, lożę w teatrze, słowem wszystko, czego serce pani zapragnąć może. Niechże się pani długo nie namyśla i poda mi rękę na znak zgody!

Hortensja popatrzyła na niego wielkimi oczyma i rzekła zdziwiona:

— Nie rozumiem pana!

— Niechżeż pani nie udaje taką niewinną! — odparł Hellmut z brzydkim uśmiechem — nie wierzę, by mnie pani nie rozumiała. Nie wyrosła pani przecież w lesie. Proszę mi lepiej dać całusa na znak zgody i koniec. Nie będzie pani przecież tak nierozsądną, aby odrzucać szczęście?



Król Jerzy angielski w trosce o los wszystkich obywateli, zwiedził ostatnio dzielnicę najuboższych w Londynie.

To rzekłszy, przystąpił do niej z lubieżnym spojrzeniem. Hortensja odskoczyła z krzykiem do okna.

Referendarz ofuknął ją i odciągnął ją szorstko od okna.

— Nic się pani nie stanie — krzyknął gniewnie — niech pani więc nie krzyczy i mnie nie kompromituje! Niech pani będzie rozsądną! Ja pani robię propozycję, a od pani zależy decyzja.

Hortensja słuchała, drżąc na całym ciele. Teraz zrozumiała nareszcie, o co mu chodzi.

Był nikczemnym tchórzem! Nie wzdrygał się przed popełnieniem czegoś złego; chodziło mu tylko o to, aby to zostało w tajemnicy! Chciał przed światem udawać człowieka honorowego, aby sobie nie zaszkodzić w karierze. Mimo przestrachu miała Hortensja tyle przytomności umysłu, aby z tej okoliczności wyciągnąć pewną korzyść.

— No, dziecko, jednego tylko całusa — nalegał referendarz.

— Jak się pan tylko odważy tknąć mnie palcem, to się z okna rzucę — krzyknęła Hortensja. — Jest pan nikczemnym i niehonorowym człowiekiem! Wstydź się pan, za takie propozycje dla uczciwej kobiety! Podłym było z pana strony zwabienie mnie tu pod fałszywym pozorem. Gdybym pana zaskarżyła, to by pan za to ciężko został ukarany!

— O, — zaśmiał się Hellmut szatańsko — czy ma pani świadków? Niech się pani namyśli, nim pani głupstwo popełni!

— Ta pani będzie moim świadkiem! — zawołała Hortensja gniewnie — a zresztą i pan musiałby prawdę powiedzieć!

— To mnie pani źle zna — szydził Hellmut — ja zeznam, że wszystko co pani wypowiedziała jest kłamstwem i przypuszczam, że mnie, urzędnikowi państwowemu, prędzej uwierzą niż takiej małej i nieznacznej osobie, jak pani. Co zaś do kobiety, która panią tu wprowadziła, niech ją pani szuka, jeśli pani chce, ale jej pani nie znajdzie, bo ja się już o to postaram! Była ona tylko na ten wieczór najęta i już odeszła!

Hortensja patrzała na niego osłupiałymi oczyma. Nigdy jeszcze nie widziała tyle podłości i wyrafinowania w jednej osobie. Jedno jej było jasne: że tylko groźbą skompromitowania go publicznie, zdoła się od niego wywinąć.

— Choćby mi sąd nie uwierzył — rzekła — to panna Waleska Noth mi uwierzy!

— Chyba mnie pani nie zechce oskarżyć u panny Waleski Noth? — zawołał Hellmut. — Sądzę zawsze jeszcze, że się pani namyśli, a wtedy będzie pani milczała w naszym wspólnym interesie!

— Nie, i tysiąc razy nie! — zawołała Hortensja namiętnie. — Wolę umrzeć wśród najokropniejszych tortur! Niech się pan nie waży powtarzać mi jeszcze raz tej propozycji, bo pan gorzko pożałuje!

To rzekłszy, złapała długi sztylet do rozcinania papieru, który leżał na biurku i skierowawszy go ku sobie, patrzała na swego ciemiężyciela z ponurą determinacją.

— Ten sztylet jest tępy — szydził Hellmut — tym pani ani sobie, ani mnie nic nie zrobi. Ale czyż miało by naprawdę nic z tego nie być?

— Nie, nie i jeszcze raz nie! — krzyknęła Hortensja.

— Żal mi — rzekł na to Hellmut — ale widzę, że pani jest uparta! Wypuszczę panią bez oporu, jeżeli mi pani przyrzeknie tajemnicę!

— Przysięgam panu, że nikomu o tym nie wspomnę! — zawołała Hortensja uradowana nadzieją wydostania się.

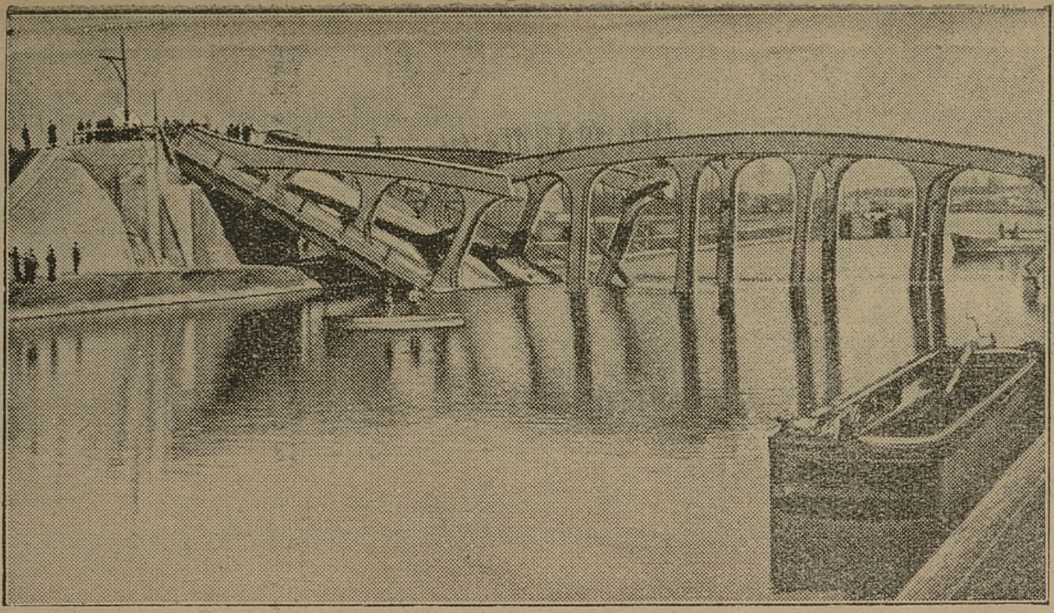
— I nie będzie pani skarżyła do sądu? — spytał referendarz.

— Nie — powtórzyła młoda kobieta słabo.

— I będzie pani milczała o tym przed Waleską i starym Nothem?

— Ani słowo o tej nikczemnej scenie nie przejdzie przez moje usta! — obiecywała Hortensja.

— I nie będzie pani do nikogo o tym pisała? — pytał znów niedowierzająco.



Jeden z najpiękniejszych mostów Belgii na ka nale Alberta, zapadł się wskutek błędu w konstrukcji.

— Obiecałam milczenie — odparła Hortensja dumnie i — dotrzymam słowa.

— Dobrze, ale niech mi pani jeszcze odda ten list, którym panią tu zamówiłem — rzekł Hellmut.

Hortensja wyciągnęła list z kieszeni, a referendarz wsunął go do swej kieszeni, przekonawszy się, że to jest ten sam list.

— To był przecież dobry pomysł z mojej strony — rzekł z uśmiechem zadowolenia — szkoda, że pani taka uparta! A taka dzika, że się wprost do pani boję przystąpić. I ani jednego całuska nie dostałem. Niechże mi pani jeszcze raz przysięgnie, że pani będzie milczała, to panią wypuszczę!

— Przysięgłam raz, a to wystarczy! — rzekła Hortensja dumnie — otwórz pan natychmiast drzwi!

— Otwieram już — odpowiedział Hellmut zaambarasowany i wyjąwszy klucz z kieszeni, otworzył nim drzwi.

Hortensja wybiegła do przedpokoju, ale i tu zastała drzwi zamknięte.

— Powoli, mój aniołku — zawołał Hellmut — ja zejdę z panią, bo nie chcę, aby pani tu z kim w tym domu rozmowę nawiązała.

Złapał ją za rękę i tak silnie trzymał, że się ruszyć nie mogła, podczas gdy on drzwi z przedpokoju otwierał, a potem znów z zewnątrz zamknął.

Machinalnie spojrzała na miejsce, gdzie wisiał szyld. Znikł on bez śladu. Teraz dopiero przejrzała Hortensja całą intrygę i wstręt jej dla Hellmuta wzrósł jeszcze bardziej!

Referendarz sprowadził ją uprzejmie ze schodów i do najbliższego rogu, gdzie stały dorożki.

Skinąwszy na jednego z dorożkarzy, pomógł jej przy wsiadaniu i szepnął jej jeszcze na pożegnanie:

— A proszę milczeć o tej sprawie, bo pani pożałuje!

Hortensja nic na to nie odpowiedziała.

Wróciwszy do domu, zamknęła się w swym małym pomieszkanku i zaczęła gorzko płakać. Nikczemność ludzka, z którą się dziś po raz pierwszy zetknęła, oburzyła ją do żywego. W utrapieniu swym pomyślała znów o Leonie. O, gdyby on wrócił, aby ją przed złym światem ochraniać! Gdyby się na jego sercu mogła wypłakać!

Ale ona była tak samotną, tak opuszczoną!

Referendarz rzucił za odjeżdżającą Hortensją zjadliwe spojrzenie. Było widoczne, że jego niezadowolona namiętność dla pięknej kobiety zmieniła się w najzaciętszą nienawiść i chęć zemsty.

Stał przez chwilę niezdecydowany, potem wrócił do tego samego domu i zadzwonił do tych samych drzwi.

Czekał dość długo. Wreszcie usłyszał kroki i zobaczył przez firanki wyglądającą kobiecą głowę. Potem dopiero otworzono mu.

Referendarz wszedł nie zdjąwszy nawet kapelusza. Otyła, ale zawsze jeszcze piękna kobieta, w średnim wieku, przyjęła go głośnym, szyderczym śmiechem.

Śmiejąc się, poszła naprzód do salonu i padła na krzesło, trzymając się za boki.

— Przestań się śmiać, Noro! — ofuknął ją referendarz gniewnie.

— Nie chce mi się! — śmiała się piękna kobieta dalej — a to cię ta mała blondynka z kwitkiem odprawiła, Ottonie! Musiałam się wstrzymywać, aby głośnym śmiechem nie parsknąć.

— Podsłuchiwałaś? — oburzył się referendarz.

— Pewnie! — potwierdziła Nora. — Chciałam także mieć przyjemność!

— Sądzę, że te 100 zł., które za to dostałaś, sprawiły ci dość wielką przyjemność — mruknął Hellmut gniewnie. — Pomyśleć, że tyle pieniędzy za okno wyrzuciłem.

— Zużyję je dobrze! — pocieszyła go pani Nora z ironicznym uśmiechem — ale przyznaj sam, Ottonie, czy ja nie jestem najlepszą, najbezinteresowniejszą przyjaciółką w świecie! Inna na moim miejscu poruszyłaby niebo i ziemię, aby nie dopuścić do spotkania między tobą a tą małą czarownicą. Ja zaś, jeszcze sama to wszystko dla ciebie zaaranżowałam.

— Aby mnie jeszcze silniej w swoje kleszcze dostać! — rzekł referendarz.

— O, nie ujmuj mi zasług! — broniła się piękna Nora. — Nie znałam przecież tej osóbki przedtem i nie mogłam przypuszczać, że ona ci się w ramiona nie rzuci, a wtedy byłbyś się na pewno chciał mnie pozbyć! Przyznaj, że jestem wygodną przyjaciółką!

— Oczywiście! — mruknął Hellmut gniewnie.

— Jesteś w złym humorze! — rzekła Nora obojętnie. — Nie dziwię ci się wcale, bo ta mała rzeczywiście była cudowną. Nie jest jednak tak piękną, jak ja, gdy byłam w jej wieku, i za 20 lat z pewnością tak wyglądać nie będzie jak ja teraz.

Stanęła przed lustrem i zaczęła się sama sobie z zadowoleniem przypatrywać.

Referendarz spojrzał też na nią i ponura jego twarz rozjaśniła się. Przystąpił do niej i ucałował ją, a ona uśmiechnęła się z zadowoleniem i nie broniła się wcale.

— Nie wiem u diabła, com zobaczył w tej małej wdówce! — rzekł on. — Ty jesteś tak samo ładną jak ona, Noro, a przytem jesteś o wiele wygodniejszą i lepszą!

Tej małej czarownicy odpłacę się [illegible]ś za to złe obejście się ze mną i uniemożliwię jej robienie plotek!

Nienawistny, nieprzebłagany wyraz jego oczu nie wróżył Hortensji nic dobrego.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka
ul. Witold Mataczyński, Łysinin

Pa	bie	czy	mi	że
bie	sko	trzaj	ser	Bo
cie	o	że	mi	e
wy	ule	czy	wi	du
w	do	Bóg	dwo	pro
na	nia	sto	szko	dzi

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

Bilety wizytowe
ul. Witold Mataczyński, Łysinin

A. Nep. Koza

Hr. O. C. Dybocz

Ks. M. Warzic

W jakich miastach polskich zamieszkują właściciele powyższych biletów?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 8 kwietnia br.

Rozwiązania zadań z nr. 12 „Moich Powieści“: I. Krzyżówka wirowa: 1. Mila 2. Lawa 3. Wino 4. Lato 5. Kosą 6. Polo 7. Baba 8. Pole 9. List 10. Sala. II. Dopełnianka: „Gdy stracisz, co ci fortuna udziela, wtedy poznasz przyjaciela“. Karpiński.

Trafne rozwiązania nadesłali p. p.: Milecki Henryk — Biała, Bereźnicka W. — Odolczyn, Pinacki Jan — Katowice, Bultrowicz Wacław — Gniezno, Roza Ryszard — Bydgoszcz.

Nagrody w drodze losowania przypadły p. p.: Mileckiemu z Białej i Pinackiemu z Katowic.



Niedziela, dnia 3 kwietnia 1933 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kaplicy Matki Boskiej Ostrobramskiej w Wilnie 10.30 Giuseppe Verdi: „Traviata" — opera z płyt (w skrócie) 12.03 Poranek symfoniczny ze Lwowa 13.30 Muzyka obiadowa „Od Włocławka do Gdyni" 14.45 Audycja dla wsi 15.45 Wszystkiego po trochu — audycja dla wsi 16.05 Ludowe pieśni orawskie (z Krakowa) 16.30 Charles Gounod: Muzyka baletowa z op. „Faust" (płyty) 16.45 „Amer — ponury cień Sahary" — opowieść mówiona 17.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" 19.35 Słynni wirtuozi (XVII audycja) 21.15 „Ta-joj" — „Liberum veto" — wesoła audycja ze Lwowa 22.00 Najpiękniejsze pieśni Stanisława Moniuszki (VII audycja) 22.20 Recital fortepianowy Józefa Turczyńskiego.

Poniedziałek, dnia 4 kwietnia 1933 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Aleksander Tansmann: Suite Divertissement (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" (z Wilna) 16.15 Koncert orkiestry wojskowej 17.00 „Potęga elektryczności" — pogadanka 17.15 Koncert kameralny 18.10 Melodie wiedeńskie (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Dyskutujmy: „Wieś i miasto" 20.00 Koncert rozrywkowy ze Lwowa 22.00 Koncert symfoniczny.

Wtorek, dnia 5 kwietnia 1933 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Alfred Cortot gra utwory Ravela (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Zagadki muzyczne" — audycja dla dzieci starszych 16.15 Orkiestra mandolinistów 17.00 Najstarszy las w Polsce — pogadanka 17.15 Koncert kameralny z Poznania 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Nieśmiertelne książki: „Robinson Crusoe" (wiecz. XII) 19.30 Recital śpiewaczy Ady Hecht 20.00 Confetti muzyczne — koncert rozrywkowy z Katowic 21.00 Sylwetki kompozytorów polskich (33 audycja) 22.00 Melodie taneczne w wyk. Małej Orkiestry P. R.

Środa, dnia 6 kwietnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Scherza z symfonii (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Chwilka pytań — pogadanka dla dzieci starszych 16.15 Muzyka rozrywkowa w wyk. ork. Adama Hermana z Krakowa 17.00 Wojna przyszłości — odczyt 17.15 Recital skrzypcowy Eevalta Turgana (Estonia) 17.50 „Siła charakteru jako podstawa zwycięstwa" — odczyt 18.10 Lekkie wiązanki z płyt 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Dr. Aleksander Majkowski" — szkic literacki 19.15 Pieśni obce w wykonaniu M. Zabajdy-Sumickiego 19.35 „Sztuka robotnicza" — dialog 20.00 Salonowe i wokalne zespoły kobiece (płyty) 21.45 „Nieprzemijający urok poezji: Teofil i Maria" 22.00 Ulubione utwory Edwarda Griega.

Czwartek, dnia 7 kwietnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Pierwiastki narodowe w muzyce polskiej i obcej — poranek muzyczny dla gimnazjów 12.03 Audycja południowa 15.45 Rozmowa muzyka z młodzieżą 16.15 Koncert solistów 17.00 O książce M. B. Lepeckiego „Madagaskar" 17.15 Łódzka orkiestra salonowa pod dyr. Rydera T. 18.35 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 „Tata dzwonił" — słuchowisko 19.30 Polskie utwory fortepianowe wyk. Wanda Kopecka 20.00 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 21.00 Wiosenny rejs" — audycja muzyczno-słowna 21.45 „O młodą twórczość sceniczną" — szkic literacki Tadeusza Boya-Żeleńskiego 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 8 kwietnia 1938. r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 Płyniemy wielką rzeką — audycja dla dzieci 16.20 Koncert rozrywkowy z Katowic 17.00 Uczmy się mieszkać — pogadanka 17.15 Pieśni Roberta Schumanna — koncert z Łodzi 18.10 Popularni pianiści jazzowi (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „W zaklętym borze" — fragment sztuki Rydla „Zaczarowane koło" — w Teatrze Wyobraźni 19.30 Pieśni o morzu i marynarzach" — z Torunia 20.00 Koncert symfoniczny — transmisja z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 9 kwietnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 12.03 Audycja południowa 15.45 Słuchowisko dla dzieci: „Baśń o siedmiu krukach" 16.15 Koncert rozrywkowy z Katowic 17.15 Recital fortepianowy Pawła Lewieckiego 18.15 Muzyka lekka z płyt 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 „Fijołek z Montmartre" — operetka Kalmana 22.00 „Prośby i rozkazy" — skecz 22.15 Koncert orkiestry Marynarki Wojennej z Gdyni.



ZACZĘLI OD MAŁEGO

Ulicą idą dwaj bankierzy. Nagle podbiega mały ulicznik, wyciąga jednemu z nich chustkę od nosa z kieszeni i ucieka.

Na to jeden z grubych panów rzecze do okradzionego kolegi:

— Moryc, widziałeś? Ten łobuz ciebie okradł, a ty nic?

— Daj jemu spokój, Izydor, myśmy przecież też od małego zaczynali...

CIEKAWOŚĆ

Na niebie nad małym miasteczkiem widać ogromną łunę. Gdzieś w pobliżu wybuchł wielki pożar. Straż ogniowa pędzi co koń wyskoczy. Za wozami biegnie tłum ludzi, a wśród ciekawych pierwszy jest Fingerhut.

— Żeby się tylko znowu nie paliła ta fabryka papieru, — mówi sam do siebie, nie mogąc złapać tchu. — To już widziałem dwa razy.

ZNA JĄ

— Żebym ja wiedział, co mam kupić na imieniny mej żonie?

— A no po prostu zapytaj jej.

— Ładna sprawa! Skądże bym miał na tyle pieniędzy!

PORZĄDNY DOM

— Kasiu, pończochy, których tak długo szukałam, znalazłam w twoim kuferku!

— Ja zaraz powiedziałam pani, że w domu nic nie zginie!

CENNY DOKUMENT

Do pewnego milionera, amatora rzadkich pism i druków, przychodzi mizernie wyglądający człeczyna i mówi:

— Jeśli pan da zaraz dziesięć złotych, to pokażę panu dokument, jakiego nawet za połowę swego majątku nie mógłby pan dostać!

Zaciekawiony milioner daje dziesięć zł.

Mizerny człeczyna pokazuje mu świadectwo ubóstwa.

POD GAZEM

Przed słupem reklamowym stoi zawiany jegomość i wodzi rękami po plakatach. Obszedłszy kilkakrotnie słup dookoła, krzyczy:

— O rety! Ludzie ratujcie! Zamurowali mnie!

NA BIELAŃSKIEJ

— Dzień dobry, panie Kacenmacher. Jak interesy?

— Jak flet.

— Nu, tak. Jak jedną dziurę się zatyka to druga się otwiera.

NASZA POCZTA

— Podobno dopiero teraz ukazał się zbiór nieznanych listów Mickiewicza.

— Co ty mówisz? Dopiero teraz? No widzisz, jak funkcjonuje nasza poczta!

LOKAJ

Bankier Pipersztok siedział w miękkim fotelu, gdy na progu zjawił się lokaj Jan i zameldował:

— Jaśnie pani prosi jaśnie pana, żeby jaśnie pan raczył pofatygować się do jaśnie pani.

Pipersztok słucha, słucha, w końcu traci cierpliwość.

— Mój Janie — powiada — przecież teraz nie ma gości. Jan może mówić zwyczajnie.

Lokaj prostuje momentalnie zgięty kark i mówi prędko:

— Syp pan do swojej starej i walnij ją pan w kark, a mocno, bo żarła indyka i kością się udławiła...

* * *

Mały Jasio ze dwadzieścia razy zadał tego popołudnia pytanie: „Dlaczego?" Ojciec jego był do tego stopnia znudzony i zmęczony, że wreszcie rzekł:

— Znałem chłopczyka w twoim wieku, który także ciągle stawiał pytania i w końcu zamienił się w znak zapytania...

Jasio podumał trochę, po czym spytał:

— Tatusiu, gdy ten chłopczyk zmienił się w znak zapytania, to jak on potrafił utrzymać punkt pod sobą?

* * *

Mały Kazio zasięga informacyj u starszej siostry:

— Poco ty się właściwie pudrujesz?

— Dlatego, żeby mi się nie świeciła skóra.

— Czy nie mogłabyś troszkę popudrować moich spodenek?

* * *

— Czy pan jest muzykalny?

— Bardzo. Moje zamiłowanie do muzyki uratowało mi nawet życie...

— W jaki sposób?

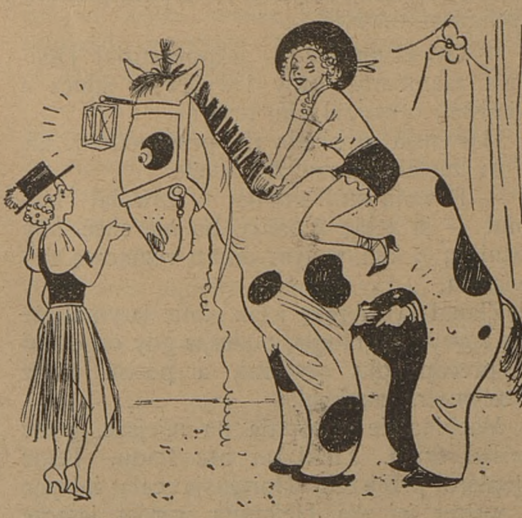
— Mieszkałem wraz z ojcem przez kilka lat w Ameryce północnej. Razu pewnego padliśmy ofiarą straszliwej powodzi. Od śmierci uratowało nas jedynie to, że ja płynąłem na kontrabasie, a mój ojciec towarzyszył mi na fortepianie...

PYTANIE

— Tatusiu, a co ludzie mieli, zanim wynaleziono radio?

— Spokój!

WSPOMNIENIE Z KARNAWAŁU



Głos z wnętrza konia:

— Co za głupi pomysł z przebraniem się nas za konia. Ja wychodzę. Jeżeli chcesz, dźwigaj dalej twoją część.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.